

WIEŚCI

AKADEMICKIE

NUMER SPECJALNY (XVIII) NA DZIEŃ PATRONA
ORAZ JUBILEUSZ 60-LECIA AUTONOMII UCZELNI

60

Przemówienie m. n. Wyszyńskiego w ONZ

Przemówienie m. n. Wyszyńskiego w ONZ. Dnia 10 grudnia 1951 roku...

155 ml. Włochów podpisało apel SRP

155 tysięcy Włochów podpisało apel SRP. Wskazywało na...

Nowe drogi o długości 5000 km

Nowe drogi o długości 5000 km. W tym celu...

Obrody Plenum C. B. Z. Z.

Obrody Plenum C. B. Z. Z. W tym celu...

Przedruk: (czwartek) 20 XII 1951. Nr 1227 (1228)

Polski świat pracy podejmuje zobowiązania dla uczczenia 72 rocznicy urodzin Chorążego obozu pokoju — Józefa STALINA

Przedstawiciele polskiego świata pracy...

Przemysł chemiczny wykonał plan

Przemysł chemiczny wykonał plan. Wyprodukowano...

Przemysł chemiczny wykonał plan. Wyprodukowano...

Przemysł chemiczny wykonał plan. Wyprodukowano...

Przemysł chemiczny wykonał plan. Wyprodukowano...

Przemysł chemiczny wykonał plan. Wyprodukowano...

Przemysł chemiczny wykonał plan. Wyprodukowano...

Przemysł chemiczny wykonał plan. Wyprodukowano...

Przemysł chemiczny wykonał plan. Wyprodukowano...

Przemysł chemiczny wykonał plan. Wyprodukowano...

Przemysł chemiczny wykonał plan. Wyprodukowano...

Przemysł chemiczny wykonał plan. Wyprodukowano...

Przemysł chemiczny wykonał plan. Wyprodukowano...

Przemysł chemiczny wykonał plan. Wyprodukowano...

Przemysł chemiczny wykonał plan. Wyprodukowano...

Przemysł chemiczny wykonał plan. Wyprodukowano...

Przemysł chemiczny wykonał plan. Wyprodukowano...

Przemysł chemiczny wykonał plan. Wyprodukowano...

Wypych i nieużytków

Wypych i nieużytków. W tym celu...

Wypych i nieużytków. W tym celu...

Wypych i nieużytków. W tym celu...

Wyższa Szkoła Rolnicza otrzyma własny budynek

Wyższa Szkoła Rolnicza otrzyma własny budynek. Utworzona w Poznaniu...

Wyższa Szkoła Rolnicza otrzyma własny budynek. Utworzona w Poznaniu...

Wyższa Szkoła Rolnicza otrzyma własny budynek. Utworzona w Poznaniu...

NAPRAWIAJA

NAPRAWIAJA. Przy jednej ze ścieżek Nowego Ratusza...

BYŁA MGŁA

BYŁA MGŁA. W środę trudno było się poruszać po ulicach Poznania...

CIĘKAWY ZJAWISKO

CIĘKAWY ZJAWISKO. We wtorek we wczesnych godzinach...

Zgłaszając się do pracy w przemyśle węglowym

W muzycznym Poznaniu

Na czwartej (ostatniej) stronie „Głos Wielkopolski” z dnia 20 grudnia 1951 roku doniósł, że utworzona miesiąc wcześniej „Wyższa Szkoła Rolnicza otrzymała własny budynek” (przy ul. Dąbrowskiego); to pierwsza wzmianka na temat naszej uczelni w tym dzienniku

W NUMERZE:

Z dziejów Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu (1951–1972) (Zygmunt Kaczmarek)	2
Nasza autonomia – spojrzenie refleksyjne (Małgorzata Mańka)	6
Tadeusz Molenda (1911–1975) – pierwszy rektor Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu (Mieczysław Podgórski)	9
Dziesięcio- i dwudziestolecie Wyższej Szkoły Rolniczej w obiektywie Wacława Sokołowskiego (es)	10
Tadeusz Molenda – nie tylko rektor i naukowiec (cz. 1). Wspomnienia Magdaleny Kowalkowskiej, córki pierwszego rektora Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu – Tadeusza Molendy (Ewa Strycka)	15
Sześćdziesiąt lat poznańskiej uczelni rolniczej z Wierzenicą i Dembińskimi w tle (Ewa J. i Włodzimierz Buczyński)	18
Laboremus! (August Cieszkowski)	22
Profesor Zygmunt Pietruszczyński (*25 stycznia 1886 – †27 stycznia 1965) (Stanisław Kozłowski)	24
Tadeusz Molenda – nie tylko rektor i naukowiec (cz. 2). Wspomnienia córki Tadeusza Molendy, Magdaleny Kowalkowskiej, oraz jego siostry, Heleny (Ewa Strycka)	26
Pierwszy wykład na uczelni, nocleg pod portretem Marksa i „wywrotowe” rękawiczki. Wspomnienia młodej studentki z 1951 roku (Danuta Wójcik-Wojtkowiak)	31
„Czasy, jakie były, takie były, ale człowiek był młody...” Wspomnienia studentów rozpoczynających naukę na Uniwersytecie Poznańskim w październiku 1951 roku (Ewa Strycka)	32



Fot. Ewa Strycka

WIEŚCI AKADEMICKIE

dwumiesięcznik

Wydawca:

Uniwersytet Przyrodniczy
w Poznaniu

Przewodniczący Rady Programowej:

prof. dr hab. Jan Pikul
prorektor ds. nauki i współpracy z zagranicą

Członkowie Rady Programowej:

Irena Małecka, Dorota Wrońska-Pilarek,
Andrzej Bereszyński, Jerzy Świgoń,
Józef Piróg,
Dorota Piasecka-Kwiatkowska, Emilia
Wytykowska-Sroka, Andrzej Kusztełak,
Tomasz Trelka, Jagoda Jopp

Redaktor naczelna:

Ewa Strycka
4est@up.poznan.pl

Współtwórcy zawartości merytorycznej niniejszego numeru „Więści Akademickich”:

Stanisław Kozłowski, Małgorzata Mańka

Adres redakcji:

60-693 Poznań, ul. Witosa 45
tel./fax 618 48 77 80
tel. kom. 502 19 82 46

wiesci.akademickie@up.poznan.pl

Wersja elektroniczna:

www.au.poznan.pl
www.up.poznan.pl

Skład i łamanie:

perfekt sp.j.

Druk:

Zakład Graficzny
Uniwersytetu Przyrodniczego
w Poznaniu

Fotografie na okładce:

1 strona: fragment rozporządzenia Rady Ministrów
z 17 listopada 1951 roku (fot. Ewa Strycka);
2 strona: archiwalny numer „Głosu Wielkopolskiego”
(fot. Ewa Strycka); 3 strona: okolicznościowy baner
(fot. Krystyna Madelska); 4 strona: w Parku Sołackim
(fot. Ewa Strycka)

Korekta tekstów:

Lidia Sajewska

Redakcja stara się zwracać materiały niezamówione i zastrzega sobie prawo
skracania i opracowywania nadesłanych tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń.





Od lewej: gmachy Zakładów Botanicznych (dziś to Dworek Sołacki), Zakładów Zootechnicznych i Zakładu Hodowli Lasu (widok od ul. Sołackiej, dziś: Wojska Polskiego)

Z dziejów Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu (1951–1972)

Rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia 17 listopada 1951 roku utworzono Wyższą Szkołę Rolniczą (WSR). Stało się to w wyniku wydzielenia z Uniwersytetu Poznańskiego dwóch wydziałów: rolnego wraz ze Studium Ogrodniczym, i leśnego. Pierwszym rektorem WSR został prof. dr Tadeusz Molenda. W tym samym dniu powołano też Wydział Zootechniczny, którego dziekanem został prof. Jan Sokołowski.

Kolejnym ważnym wydarzeniem w rozwoju uczelni było utworzenie Oddziału Technologii Drewna na Wydziale Leśnym (23 listopada 1951). W 1954 roku tenże oddział stał się Wydziałem Technologii

rolniczej kadry i rozpatrzeniu potrzeb gospodarczych oraz zainteresowań młodzieży tworzyły samodzielne jednostki organizacyjne.

Wydziały tradycyjne oparte były na strukturze katedr, zakładów i pracowni. W latach 1952–1970 liczba katedr prawie się podwoiła – z 40 do 74, a zakładów wzrosła z 50 do 96. Ponadto funkcjonowało 29 pracowni (w 1970 roku). Największą liczbę katedr tradycyjnie miał Wydział Rolny (w 1970 roku – 25). Pozostałe wydziały miały ich od ośmiu do jedenastu. Podobna sytuacja była z zakładami. Wydział Rolny miał 29 zakładów, a pozostałe wydziały od 11 do 19.

W 1970 roku w całym kraju wprowadzono strukturę instytutową w szkołach wyższych. Ministerstwo przyjęło strukturę instytutową opracowaną przez pracowników naukowych WSR. Docelowo w WSR w Poznaniu miało być siedem wydziałów oraz 25 instytutów w ramach wydziału. Instytuty gromadziły wokół siebie pokrewne specjalności. Model wypracowany w Poznaniu przyjęty został przez wszystkie szkoły rolnicze w Polsce.

Władze rektorskie i dziekańskie urzędowały w byłym budynku Państwowej Szkoły Ogrodniczej przy ul. Dąbrowskiego. Funkcje rektora pełnili: wspomniany już Tadeusz Molenda, Kazimierz Gawęcki, Władysław Węgorek, Zbyszko Tuchołka.

Pierwszy Senat składał się z 16 osób. W jego skład wchodził: rektor, prorektorzy, dziekani, prodziekani, dyrektor administracyjny, trzej pracownicy pomocniczy i trzej przedstawiciele organizacji młodzieżowych, partyjnych i związkowych. Później w skład Senatu weszli jeszcze dyrektor biblioteki, kierownicy studiów: wychowania fizycznego i języków obcych, a także lekarz, a po 1956 roku doszli delegaci rad wydziałowych. Senat zbierał się nieregularnie. Problemy organizacyjno-administracyjne zapadały na Kolegium Rektorskim, które było ciałem doradczym i opiniodawczym. W skład tegoż kolegium wchodziły władze rektorskie, dyrektor administracyjny, pierwszy sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i przewodniczący Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Na podstawie protokołu przejścia od Uniwersytetu Poznańskiego WSR weszła w posiadanie 18 budynków, w których znajdowały się sale wykładowe, sale ćwiczeń oraz siedziby katedr i zakładów. Miały one z reguły charakter willowy, stąd też większość z nich nie nadawała się do prowadzenia zajęć naukowych i dydaktycznych. Dlatego też opracowano plan rozbudowy uczelni. Jeszcze będąc w strukturze uniwersytetu, oddano do użytku budynek Chemii Rolnej, w 1955 roku wybudowano lub rozbudowano cztery dalsze obiekty, a w latach 1957–1964 oddano kolejnych pięć.

Jednak w dalszym ciągu uczelnia nie mogła pomieścić wszystkich jednostek organizacyjnych i studenci odbywali zajęcia także w pomieszczeniach wynajętych na terenie Poznania. Z bardziej okazałych budynków powstałych w tymże okresie należy wymienić: budynki fizjologii, maszynoznawstwa i „Nowego” Kolegium Cieszkowskich (każdy z nich przekraczał ponad 11 000 m²). Ponadto pobudowano domy studentów



Fot. 11 x archiwum Małgorzaty Maniki

Dworek Sołacki przed wojną

Drewna, na którego czele stanął prof. Stanisław Prosiński. W tymże roku przekształcono Studium Ogrodnicze w Oddział Ogrodniczy na Wydziale Rolnym. Dwa lata później oddział ten przekształcono w Wydział Ogrodniczy, którym kierowała doc. Helena Nieć. W 1962 roku z Oddziału Technologii Rolnej (powołanego jeszcze w roku 1956) wyłonili się nowy Wydział Technologii Rolno-Spożywczej (dziekan: prof. Józef Janicki). W tymże też roku powstał Oddział Melioracji Wodnych na Wydziale Rolnym, który w 1970 roku został przekształcony w wydział o tej samej nazwie. Dziekanem został doc. Jerzy Marcinek. Z tych wywodów można wywnioskować, że władze WSR działały pragmatycznie – najpierw tworzone przez wydziały oddziały, które po przygotowaniu odpowied-

kie na Winogradach i domy mieszkalne dla pracowników przy ul. Szydłowskiej. W budowie były też obiekty Wydziału Technologii Drewna oraz Studium Wojskowego. Ten rozmach budowlany w pewien sposób rozładował ciasnotę lokalową i warunki studiowania, gdyż w latach 1961–1970 liczba studentów wzrosła z ponad 2000 do prawie 5500.

Bardzo ważnym składnikiem majątku uczelni, niezbędnym dla rozwoju badań naukowych i realizowania dydaktyki, były rolne i leśne gospodarstwa doświadczalne. Siedem gospodarstw rolnych, jedno nadleśnictwo i tartak – dotychczas użytkowane przez Wydziały: Rolniczy i Leśny Uniwersytetu Poznańskiego – stały się własnością WSR. Formalnie przejęcie nastąpiło 7 lutego 1952 roku, ale ze względu na odległości i inne uwarunkowania dwa gospodarstwa (Pawłowice, Sielec Stary) oddano do dyspozycji Państwowym Gospodarstwom Rolnym, a gospodarstwo przekazane przez Augusta Cieszkowskiego (juniora) w okresie Drugiej Rzeczypospolitej w Żabikowie przekazano miejscowej administracji. Ostatecznie WSR przyjęła cztery gospodarstwa:



Przedwojenni pracownicy Inżynierii Leśnej

w Złotnikach, Swadzimiu, Przybrodzie (powiat poznański) i Gorzaniu (powiat międzychodzki). W późniejszych latach na własność uczelni przeszły grunty w Przeźmierowie, Marcellinie, na Ogrodach, Sołaczu, w Brodach (powiat nowotomyski) i Dłoni (powiat rawicki). W 1969 roku we władaniu WSR było ponad 3200 ha użytków rolnych.

W obrębie tychże gospodarstw były też jeziora, stawy, lasy i parki (około 500 ha). Rolnicze gospodarstwa doświadczalne położone bliżej Poznania wykorzystywane były do prac naukowo-badawczych i ćwiczeń praktycznych, z kolei zakłady położone dalej służyły studentom do praktyk wakacyjnych. We władaniu WSR znalazły się też obiekty leśne. Były to: nadleśnictwo Zielonka (3440 ha), nadleśnictwo Łaski (3282) oraz arboretum w Gołuchowie (162 ha). Na tychże terenach poszczególne katedry pobydowały 30 stacji terenowych. Początkowo zakłady leśne miały dochody przeznaczone na własny rozwój. Niestety, w 1966 roku centralnie ograniczono możliwość wykorzystywania tychże dochodów na własne potrzeby, co niekorzystnie wpływało na ich dalszy rozwój.



Jeden z budynków uczelnianych przy ul. Wołyńskiej



Laboratorium Ogólnej Hodowli Zwierząt

Jednocześnie z rozwojem wydziałów powstały inne instytucje, które były zapleczem badań naukowo-dydaktycznych. W pierwszym rzędzie należy wymienić bibliotekę, która służyła nie tylko studentom, ale też pracownikom naukowym. Miała następujące oddziały: gromadzenia i uzupełniania zbiorów, opracowania zbiorów i ich udostępniania oraz informację naukową. Zorganizowano też pracownię mikrofilmową i archiwum uczelniane. Biblioteka zatrudniała wówczas 24 osoby, a w swych zasobach miała blisko 100 000 książek.

Warto też zaznaczyć, że już w 1954 roku powołano na uczelni Dział Wydawnictw. Powstał komitet redakcyjny, który wydawał „Roczniki Wyższej Szkoły Rolnej w Poznaniu”. W 1959 roku powołano oddzielną komórkę wydawniczą, która rozpoczęła wydawać skrypty dla studentów i drukować prace habilitacyjne (dla przykładu: w roku akademickim 1968/1969 wydano dwie prace habilitacyjne i cztery zeszyty „Roczników”). Dwa lata później powołano Zakład Pomocy Naukowych, który między innymi przystosował sale wykładowe do nowoczesnych technik nauczania. Miał dwie pracownie i warsztaty.



Po prawej: dawna Katedra Gleboznawstwa prof. Dzieciółowskiego, po lewej: Katedra Inżynierii Leśnej i Zakładu Techniki Jądrowej, w 1981 roku omyłkowo podpalona przez „nieznanych sprawców” (prawdziwym celem ataku była katedra prof. Dzieciółowskiego)

Z innych jednostek organizacyjnych należy jeszcze wymienić Studium Języków Obcych, Studium Wychowania Fizycznego, Zawodowe Studium Pedagogiczne, Studium Wiejskiego Gospodarstwa Domowego, Zakład Upowszechnienia Postępu w Rolnictwie itp. Mimo trudności lokalowych, finansowych, kadrowych WSR podjęła się też obowiązku wsparcia, głównie kadrowego i częściowo naukowego, Wyższej Szkoły Rolnej w Szczecinie. W 1954 roku rektor ze Szczecina zwrócił się do władz poznańskich o:

- zlecenie wykładów w określonych dziedzinach przez pracowników WSR w Poznaniu
- oddelegowanie do Szczecina pomocniczych pracowników naukowych oraz dobrze zapowiadających się magistrantów
- przygotowanie w WSR w Poznaniu prac magisterskich, związanych tematycznie z Pomorzem Zachodnim.

Bardzo ważnym wkładem organizacyjnym WSR w Poznaniu było utworzenie filii w Bydgoszczy, która w strukturach organizacyjnych poznańskiej uczelni pozostała do 1977 roku. Na bazie tej filii w tym samym roku powstała Akademia Techniczno-Rolnicza. O uznaniu dorobku naukowego i dydaktycznego WSR w Poznaniu przez minister-

stwo świadczyć może powierzenie jej zorganizowania ogólnopolskiej konferencji szkół rolniczych. Uznanie to zostało zauważone na arenie międzynarodowej. W 1956 roku WSR została przyjęta do Międzynarodowego Stowarzyszenia Uniwersytetów w Paryżu.

Z chwilą utworzenia WSR zaczęła obowiązywać nowa ustawa o szkolnictwie wyższym i o pracownikach naukowych, która weszła w życie 7 lutego 1952 roku i skończyła z autonomią uczelni wyższych na rzecz centralizacji.

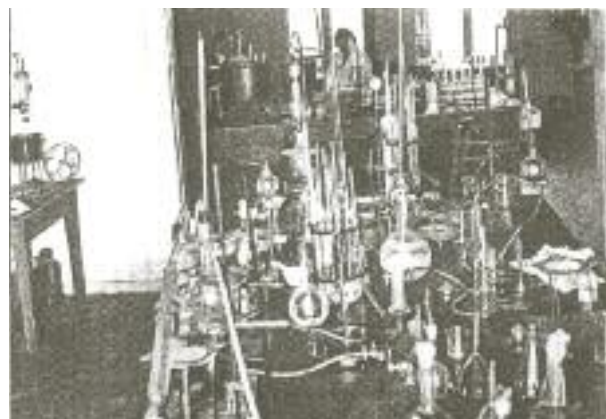
Ważnym organem była Centralna Komisja Kwalifikacyjna, która decydowała o kwalifikacjach samodzielnych pracowników naukowych. Ustawa znosiła habilitację. Od tego czasu stopniami naukowymi były: kandydat nauk i doktor nauk, a tytułami profesorowie: zwyczajni, nadzwyczajni, zastępcy profesora, docent, adiunkt, starszy asystent i asystent. Nowa ustawa wprowadziła duże zamieszanie w kwestii stopni i tytułów naukowych, na przykład „kandydat nauk” był czymś



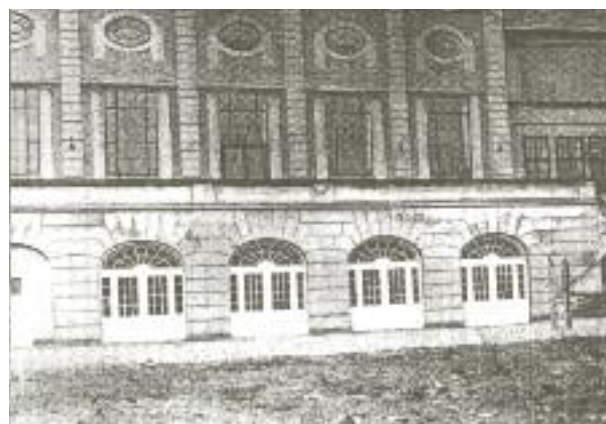
Budynek przy ul. Mazowieckiej



Zakład Hodowli Lasu



Technologia Rolnicza – w laboratorium



Zakład Weterynarii Rolniczej – dziś to Kolegium Rungego; wejście do sali operacyjnej dla dużych zwierząt (zdjęcie przedwojenne)

pośrednim między dotychczasowym doktorem a habilitacją, stopień doktora nauk zaś był wyższy od docentury. Do tego jeszcze stopień kandydata nauk był warunkiem uzyskania tytułów naukowych docenta i profesora nadzwyczajnego. Centralna Komisja Kwalifikacyjna stawiała wysokie wymagania wobec osób ubiegających się o ten stopień (przewód kandydacki składał się z trzech części, w tym z egzaminu z materializmu). Nowa ustawa o szkolnictwie wyższym z 1958 roku powróciła do tradycyjnych stopni oraz tytułów naukowych, na pierwszym miejscu stawiając dorobek naukowy i osiągnięcia ważne dla rozwoju wiedzy, gospodarki i kultury.

Tuż po utworzeniu WSR kadra naukowa składała się z: 17 samodzielnych pracowników naukowych – 10 profesorów zwyczajnych, sześciu profesorów nadzwyczajnych oraz jednego profesora tytularnego. W 1954 roku na 66 samodzielnych pracowników naukowych przypadało aż 50 (75,8%) zastępców profesora. Zastępcą profesora mógł być doktor, docent, a nawet magister lub laureat nagrody państwowej.

Jak już wspominałem kadra naukowa WSR była nieliczna, stąd też władze rektorskie czyniły starania o przyspieszenie dalszych nomina-



Weterynaria przed wojną – we wnętrzu pracowni

cji. Były to, niestety, zabiegi sztuczne, które wynikały z potrzeb, ale nie były poparte osiągnięciami naukowymi, na przykład w drugiej połowie 1954 roku nominację na profesora nadzwyczajnego otrzymało dziewięć osób, a na docenta – 19 pracowników naukowych. W 1961 roku próbowano unormować status zastępcy profesora. Postawiono im warunek, aby w ciągu trzech lat zrobili habilitację, w przeciwnym wypadku mogli przejść na stanowisko wykładowcy lub odejść z pracy. Takich osób było 14. W tym samym roku ograniczono okres pracy do lat 70.

W latach 1952–1969 WSR zatrudniała od 36 (1952 rok) do 117 (1969 rok) samodzielnych pracowników, z kolei pomocniczych pracowników naukowych początkowo zatrudniono 181 (1952 rok), a w 1969 było ich już 303.

Wielu samodzielnych pracowników naukowych powołano na przewodniczących lub kierowników rad naukowych w resortach, towarzy-

sprawność nauczania (około 50% studentów kończyło studia w terminie).

5. Studentów obowiązywał ustawowy nakaz pracy: w roku akademickim 1954/1955 WSR skierowała do pracy 373 swych absolwentów, między innymi do ministerstw resortowych. Największe zapotrzebowanie zgłosiło Ministerstwo Leśnictwa, a następnie Ministerstwo Rolnictwa (ponad 260 osób).
6. Ograniczono pracę zawodową studentów.
7. Zapewniono opiekę zdrowotną.
8. Utworzono sprofilowane wyższe uczelnie, na przykład rolnicze, medyczne.

Jednak już w 1956 roku złagodzone wspomniane wymogi; zrezygnowano z uczestnictwa obowiązkowego w wykładach, a także zezwolono radom wydziałów na elastyczne programy nauczania. Te i inne zmiany powtórzono w nowej ustawie o szkolnictwie wyższym



Fot. Wacław Sokolowski

Zawieszenie wiechy na budynku Collegium Maximum (rok 1974)

stwach naukowych, krajowych i zagranicznych, przykładowo były rektor, prof. Tadeusz Molenda, został wiceministrem w Ministerstwie Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego, a prof. Felicjan Dembiński był doradcą ministra rolnictwa.

Pierwszy oficjalny rok akademicki rozpoczął się w dniu 1 marca 1952 roku. Rektor Molenda wyznaczył prorektora Józefa Janickiego jako organizatora i przewodniczącego specjalnego komitetu przygotowującego inaugurację. Rok akademicki 1951/1952 zbiegł się z reformą studiów akademickich. Potrzeby gospodarki na wykształconą kadrę były bardzo duże. Można tutaj wymienić kilka podstawowych zasad, które obowiązywały studentów WSR:

1. Wprowadzono studia dwustopniowe: I stopień to studia trwające 3,5 roku na poziomie inżynierskim, a II stopień to studia magisterskie, które trwały 1,5 roku.
2. Utworzono Studium Wojskowe, które ułatwiało studentom ukończenie służby wojskowej bez przerywania studiów.
3. Wprowadzono planową rekrutację (limity).
4. Wprowadzono dyscyplinę studiów, gdyż ogólnie panowała słaba

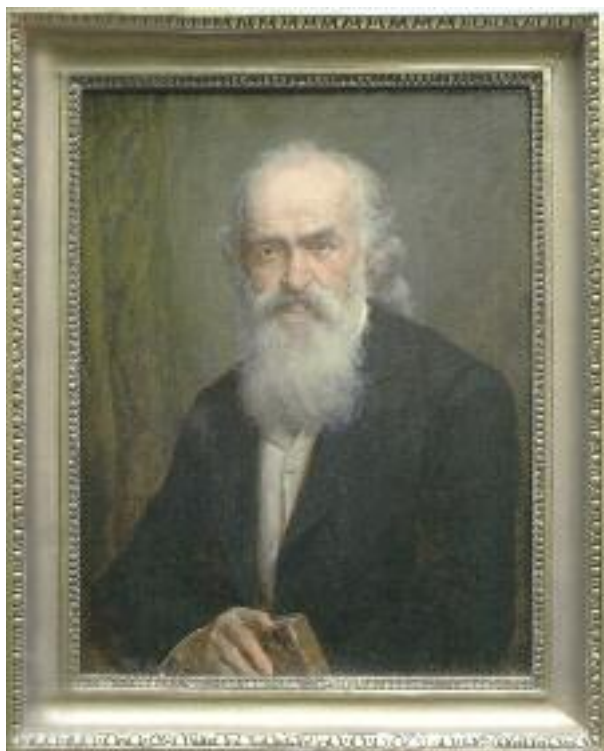
w 1958 roku. Należy też zaznaczyć, że zainteresowanie studentów różnymi kierunkami studiów było zmienne. Początkowo dużym powodzeniem cieszył się Wydział Leśny, potem przyszła moda na Wydział Ogrodniczy, a pod koniec omawianego okresu sporym zainteresowaniem cieszył się wydział Rolno-Spożywczy i Mechanizacja Rolnictwa.

Na zakończenie należy zaznaczyć, że omawiany okres lat 1951–1972 to burzliwe przemiany w Polsce, które odbiły się też na pracy nauczycieli akademickich i studentów. To koniec stalinizacji (w 1956 roku), który przywrócił do pracy usuniętych wcześniej profesorów: Niklewskiego, Schramma i Sucheckiego, oraz wypadki poznańskie 1956 roku, w których brali udział również studenci WSR. Należy też przypomnieć wydarzenia marcowe 1968 roku; doszło wówczas na WSR do strajku studentów solidaryzujących się z młodzieżą akademicką Warszawy. Jednak już wydarzenia grudniowe 1970 roku nie miały większego wpływu na życie akademickie WSR.

prof. dr hab. Zygmunt Kaczmarek

Nasza autonomia – spojrzenie refleksyjne

Wydział Rolniczo-Leśny został utworzony na Wszechnicy Piastowskiej 6 sierpnia 1919 roku i rozpoczął działalność już pierwszego października tegoż roku. Wśród entuzjazmu tworzenia upragnionego uniwersytetu w Poznaniu, po trudnych chwilach w 1926 i 1933 roku, kiedy to usiłowano zlikwidować studia leśne, wydział dotrwał do drugiej wojny światowej, która przyniosła ogromne straty ludzkie i materialne. Po tym strasznym okresie już wiosną 1945 roku rozpoczął się skrócony do jednego semestru rok akademicki, a po nim nastąpiły kolejne, o regularnym układzie. Zasiłiły wtedy wydział kadry naukowe z Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i Wydziału Rolniczo-Lasowego w Dublinach (Politechnika Lwowska), podobnie jak to było po pierwszej wojnie światowej. W 1948 roku nastąpił podział na Wydział Rolniczy (ze Studium Ogrodniczym) i Wydział Leśny. Te dwa wydziały zostały w 1951 roku oddzielone od Uniwersytetu Poznańskiego (obecnego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza), aby utworzyć Wyższą Szkołę Rolniczą. Ich los podzieliły też inne wydziały uniwersytetu, z których powstały kolejne szkoły wyższe: Akademia Medyczna i Akademia Wychowania Fizycznego.



Fot. 6 x archiwum Małgorzaty Manłki

Portret Augusta hr. Cieszkowskiego z Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk

Podział ten dokonał się w wyniku decyzji władz, które wówczas, w początkach budowy komunistycznego państwa, upatrywały w dużym uniwersytecie, skupiającym wielu wybitnych intelektualistów z różnych stron kraju (w tym także z ziem polskich włączonych do Związku Sowieckiego), ośrodek myśli opozycyjnej wobec władzy komunistycznej. Świadomość tego stanu rzeczy nie była wówczas powszechna, choć wielu miało jasny obraz sytuacji.

Wyższa Szkoła Rolnicza powstała na mocy rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 17 listopada 1951 roku, a jej pierwszym rektorem został dziekan Wydziału Leśnego, prof. dr Tadeusz Molenda (1951-1954), późniejszy podsekretarz stanu, wiceminister leśnictwa i przemysłu drzewnego.

Po utworzeniu Wyższej Szkoły Rolniczej weszła w życie (7 lutego 1952 roku) nowa ustawa o szkolnictwie wyższym i pracownikach

naukowych, która pozbawiła uczelnie autonomii, wprowadzając centralizację, a w zakresie kwalifikacji nauczycieli akademickich spowodowała spory zamęt. Dopiero kolejna ustawa o szkolnictwie wyższym, z 1958 roku, pozwoliła powrócić do tradycyjnych stopni i tytułów naukowych.

Powstanie nowej uczelni wytworzyło sytuację, w której wiele energii włożono w rozwój katedr i zakładów, a do Wydziału Rolniczego i Wydziału Leśnego zaczęły szybko dołączać nowe wydziały. Już w 1951 roku powstał Wydział Zootechniczny (dziekan: prof. Jan Sokołowski), a na Wydziale Leśnym 23 listopada tego samego roku utworzono Oddział Technologii Drewna, który w 1954 roku uzyskał samodzielność jako Wydział Technologii Drewna (dziekan: prof. Stanisław Prosiński). W tym samym roku Studium Ogrodnicze przekształciło się w Oddział Ogrodniczy na Wydziale Rolnym, aby dwa lata później stać się Wydziałem Ogrodniczym (dziekan: doc. Helena Nieć). W roku 1956 powstał Oddział Technologii Rolnej, przekształcony w 1962 roku w Wydział Technologii Rolno-Spożywczej (dziekan: prof. Józef Janicki). Rok 1962 był z kolei rokiem utworzenia Oddziału Melioracji Wodnych na Wydziale Rolnym. I ten oddział przekształcił się w wydział w 1970 roku (dziekan: prof. Jerzy Marcinek).

W 1970 roku tradycyjna struktura wydziałów, oparta na katedrach, zakładach i pracowniach, została zastąpiona instytutami. W powszechnym odczuciu zamysł stojący za tym pociągnięciem był bardzo podobny do tego, który przyświecał władzom państwowym w 1951 roku. Uważano, że struktura instytutowa miała zatomić więzi w społeczności akademickiej, okręplę już po utworzeniu nowej uczelni. Wszak 19 maja 1959 roku Senat WSR wybrał na rektora profesora Józefa Dudę, którego to wyboru władze nie uznały, co znalazło po paru tygodniach tragiczny finał w śmierci rektora elekta.

Okres trwający do 1972 roku, kiedy to uczelnia zmieniła nazwę na „Akademia Rolnicza”, był również okresem rozbudowy bazy materialnej i zmian w prawie.

Wiosną 1981 roku odbyły się pierwsze po wielu latach wybory władz uczelni i wydziałów. Kolegium elektorów zebrało się w obszernym pomieszczeniu stołówki przy ulicy Obornickiej (obecnie Piątkowska), aby wybrać rektora. Było to 13 maja i właśnie podczas wyborów dowiedzieliśmy się o zamachu na życie Jana Pawła II. Wybory zdecydowanie wygrał profesor Wojciech Dzieciółowski. Podczas Jego krótkiej i dramatycznej kadencji w różnych budynkach uczelnianych wybuchło kilka pożarów o nieustalonych do dziś przyczynach. Trzynastego grudnia tego roku nastąpiło ogłoszenie stanu wojennego, a w początku 1982 roku profesor Dzieciółowski został odwołany z funkcji rektora.

Po 1989 roku znów możliwe stały się wolne wybory władz uczelni i wydziałów. W 1990 roku rektorem został wybrany prof. dr hab. Ryszard Ganowicz, współzałożyciel i przewodniczący (1981-1989) Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” na uczelni, internowany w okresie 1981-1982.

W 1996 roku patronem naszej uczelni został August hr. Cieszkowski (1814-1894), który poświęcił wiele lat swego długiego życia sprawie powołania w Poznaniu uniwersytetu. W tym okresie, w październiku 2006 roku, powstał w Akademii Rolniczej im. Augusta Cieszkowskiego Wydział Ekonomiczno-Społeczny (dziekan: prof. Michał Sznajder). Od 11 kwietnia 2008 roku uczelnia nasza nosi nazwę Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

Sytuacja prawna, w której się obecnie znajdujemy, wydaje się w pewien sposób podobna do owej z początkowych lat po wyodrębnieniu uczelni z Uniwersytetu Poznańskiego. Ustawa z 1992 roku nadała bowiem uczelniom znaczną autonomię, poszerzając kompetencje Senatu i rad wydziałów. Kolejna ustawa z dnia 27 lipca 2005 roku (*Prawo o szkolnictwie wyższym*) nieco te kompetencje ograniczyła, a obowiązuje od 1 października 2011 roku nowelizacja tej ustawy przekazuje je w jeszcze większym stopniu w ręce organów jednoosobowych.

Ta skomplikowana i wręcz burzliwa historia minionych sześćdziesięciu lat skłania do refleksji nad przedziwnymi powiązaniem przyczyn i skutków, intencji oraz ich rezultatów. Splot losów uczelni



Od lewej stoją: prorektor ds. rozwoju kadr – Wincenty Pezacki, prorektor ds. nauki – Jan Wojciechowski, rektor – Zbyszko Tuchółka i prorektor ds. nauczania – Karol Mańka (zdjęcie pochodzi z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku)



Odwołany w stanie wojennym pierwszy demokratycznie wybrany rektor Akademii Rolniczej, prof. Wojciech Dzięciołowski



Przedwcześnie zmarły rektor elekt, prof. Jerzy Duda



Ostatni rocznik studentów leśnictwa, którzy latem 1952 roku ukończyli naukę, otrzymując jeszcze dyplomy Uniwersytetu Poznańskiego; rok młodzi od nich koledzy kończyli już Wyższą Szkołę Rolniczą



„Stare Cieszkowskie” (czyli Kolegium Cieszkowskich) w akwreli Tomusza Sobiczewskiego

z dziejami kraju nasuwa myśl, że niejednokrotnie nawet niezbyt chwalebne pobudki rozmaitych decyzji obróciły się po latach, pod wpływem wysiłku wielu oddanych nauce i kształceniu młodzieży ludzi, we własne przeciwieństwo. Pracujemy bowiem na uniwersytecie, którego społeczność ma znaczne osiągnięcia i – mimo nie zawsze sprzyjających, zmiennych okoliczności – wciąż rozwija swą uczelnię, nierazko wiążąc z nią całe swe życie.

*

Okres autonomii stał się czasem rozwoju infrastruktury, kadry i działalności dydaktycznej uczelni. Już w latach 1952-1970 niemal podwoiła się liczba katedr, a liczba studentów wzrosła z kilkuset do ponad pięć tysięcy. Dzisiaj struktura naszego uniwersytetu jest mieszana,

złożona z katedr i instytutów. Kształcimy ponad dwanaście tysięcy studentów, na dwudziestu dwóch kierunkach studiów. Znaczący potencjał naukowy buduje ośmiuset pięćdziesięciu jeden nauczycieli akademickich, w tym stu pięćdziesięciu sześciu profesorów tytularnych oraz doktorzy, którzy kształcą specjalistów i prowadzą badania naukowe w zakresie kierunków i dyscyplin wiedzy związanych z naukami rolniczymi, leśnymi, weterynaryjnymi, biologicznymi, technicznymi, ekonomicznymi i społecznymi.

Pro memoria

W 1922 roku odbył się w Bydgoszczy II Ogólnopolski Zjazd Naukowo-Rolniczy (6-8 lipca 1922), który podjął uchwały o treści bardzo aktualnej również w odniesieniu do dzisiejszej sytuacji nauki: „Co do zasad organizacji wewnętrznej, instytuty naukowe powinny mieć autonomiczny charakter niezbędny do ich naukowej działalności”.

*

„Co do źródeł finansowania, to fundusze publiczne (rządowe, samorządowe, Izby Rolniczych), stanowiąc powinny fundament materialny, istnienia, trwałości i działalności instytucji doświadczalnych”.

*

„Fundusze na badania, jak i na inwestycje powinny być udzielane w tej wysokości, aby praca doświadczalna nie napotykała przeszkód materialnych ani aby ich braki nie zniechęcały moralnie personelu do wydajnej pracy. Uposażenia pracowników winny być obowiązkiem moralnym społeczeństwa, ustalone do cen zboża”.

prof. dr hab. Małgorzata Mańka, czł. koresp. PAN

Tadeusz Molenda (1911–1975)

– pierwszy rektor Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu

Profesor Tadeusz Molenda urodził się 8 maja 1911 roku w Grodźcu w województwie katowickim. Po ukończeniu gimnazjum typu matematyczno-przyrodniczego w Jędrzejowie studiował leśnictwo na Uniwersytecie Poznańskim w latach 1929–1933. Dyplom inżyniera leśnictwa uzyskał w 1933 roku. Po ukończeniu studiów, w latach 1933–1937, pracował początkowo jako asystent i starszy asystent w Zakładzie Dendrometrii, a następnie w Katedrze Administracji i Polityki Leśnej. Stopień naukowy doktora nauk leśnych uzyskał w 1936 roku na Wydziale Rolniczo-Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego, w 1937 roku przeszedł do praktycznej działalności w Lasach Państwowych. W latach 1938–1939 pracował na stanowisku radcy ekonomicznego w Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych. W czasie okupacji hitlerowskiej był nadleśniczym w lasach prywatnych na terenie byłego powiatu włoszczowskiego*. Po zakończeniu wojny, w latach 1945–1947, był nadleśniczym Nadleśnictwa Państwowego Leszyce (OZLP Toruń). Jednocześnie kontynuował przerwana wybuchem wojny działalność naukowo-badawczą. W 1946 roku habilitował się na Wydziale Rolniczo-Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego, uzyskując stopień naukowy docenta z zakresu ekonomii i polityki leśnej. W tymże roku powołany został na stanowisko profesora nadzwyczajnego oraz kierownika Katedry Administracji i Polityki Leśnej Uniwersytetu Poznańskiego. W dziewięć lat później Rada Państwa nadała mu tytuł naukowy profesora zwyczajnego nauk leśnych. Szczególnym okresem w życiu profesora Molendy były lata akademickie 1949/1950–1953/1954, kiedy to pełnił obowiązki dziekana Wydziału Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego, a następnie obowiązki pierwszego rektora wyodrębnionej z Uniwersytetu Poznańskiego Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu. Dużą wagę profesor Molenda przywiązywał do rozwoju poznańskiego ośrodka naukowo-dydaktycznego ekonomiki leśnictwa. W 1930 roku z jego inicjatywy przekształcona została istniejąca podówczas Katedra Ekonomii i Polityki Leśnej na nowoczesną z nazwy i treści Katedrę Ekonomiki Leśnictwa. Katedrą poznańską profesor Molenda kierował 15 lat. W 1956 roku Rada Wydziału Leśnego ponownie powierzyła mu stanowisko dziekana, funkcję tę pełnił do 1961 roku, to jest do czasu powołania go na odpowiedzialne stanowisko podsekretarza stanu w Ministerstwie Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego. Funkcję wiceministra Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego pełnił przez pełnych osiem lat.

W poznańskim okresie działalności naukowo-dydaktycznej profesor Molenda ogłosił drukiem 22 prace naukowe oraz dwa obszerne podręczniki akademickie. Był promotorem 18 przewodów doktorskich. W latach 1961–1969 ogłosił drukiem 43 prace naukowe oraz dwa dalsze podręczniki akademickie. W 1962 roku zorganizował Pracownię Badań Ekonomicznych Leśnictwa i Drzewnictwa, działającą w ramach PAN. Po reaktywowaniu Wydziału Leśnego w Krakowie (1963) był organizatorem i pierwszym kierownikiem tamtejszej Katedry Ekonomiki Leśnictwa, a od 1970 roku pierwszym dyrektorem

* W zyciorysie sporządzonym 22 października 1952 roku sam Tadeusz Molenda tak opisywał okres okupacji w swoim życiu: „Wybuch wojny zastał mnie w Warszawie, skąd z całym urzędem Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych ewakuowany zostałem do Łucka. Nie docierając do celu z braku pieniędzy i lokomocji wróciłem pieszo do Warszawy bezpośrednio po kapitulacji w 1939 roku. W pierwszych miesiącach dla zdobycia jakichkolwiek środków bytu zająłem się handlem produktami żywnościowymi, dykty, szkłem itp. W czasie pobytu u rodziców w Jędrzejowie w 1940 roku zostałem zatrzymany i przez miejscowy Arbeitsamt przydzielony jako robotnik drogowy do firmy Schalinger, podlegającej miejscowemu starostwu powiatowemu. Wobec trudnych warunków pracy postanowiłem przenieść się do swego zawodu. W końcu 1940 roku wzięłem posadę sekretarza Nadleśnictwa Mękaćków, a po kilku miesiącach posadę w lasach prywatnych jako nadleśniczy w Chlewskiej Woli. [Tam] pracowałem do 1943 roku [...]. W roku 1943 ożeniłem się i przenieśliśmy do Sędziszowa w oczekiwaniu na bliski koniec wojny [...]”. (Źródło: materiały archiwalne Magdaleny Kowalkowskiej) (przyp. red.)



Fot. archiwum Biura Rektora UP w Poznaniu

Profesor dr Tadeusz Molenda

Instytutu Ekonomiki i Organizacji Gospodarstwa Leśnego AR w Krakowie. Niezadowolający stan zdrowia nie pozwalał mu jednak prowadzić intensywnej działalności naukowej i dydaktycznej, w związku z czym w 1972 roku przeszedł do Instytutu Badawczego Leśnictwa, gdzie przyjął obowiązki kierownika Zakładu Prognoz oraz funkcję wicedyrektora IBL ds. naukowo-badawczych. Jako wybitny uczyony, znany w kraju i za granicą, wielokrotnie reprezentował polskie leśnictwo na międzynarodowych kongresach i sympozjach naukowych.

Dorobek naukowy profesora Molendy obejmuje sto kilkanaście publikacji. W dorobku tym dominują prace z zakresu makroekonomiki leśnictwa i drzewnictwa. Zagadnieniom tym poświęcił kilkadziesiąt publikacji. Profesor Molenda wzbogacił i pomnożył dorobek nauk ekonomiczno-leśnych z okresu międzywojennego dwudziestolecia, zdobywając trwałą pozycję w historii nauki leśnictwa.

Profesor Molenda był odznaczony wieloma odznaczeniami państwowymi, między innymi Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz wieloma innymi odznaczeniami krajowymi i zagranicznymi.

Zmarł nagle w Warszawie w dniu 17 sierpnia 1975 roku. Pochowany na Cmentarzu Komunalnym (byłym Wojskowym) w Warszawie.

prof. dr hab. Mieczysław Podgórski

Biogram pochodzi z CXXXV, specjalnego tomu „Roczników Akademii Rolniczej w Poznaniu”, zatytułowanego 60 lat akademickich studiów rolniczych i leśnych w Poznaniu, wydanego w Poznaniu w 1981 roku (przyp. red.).

Dziesięcio- i dwudziestolecie Wyższej Szkoły Rolniczej w obiektywie Wacława Sokołowskiego



Fot. archiwum Biblioteki Głównej Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu

Wacław Sokołowski (1916–1993)

Uroczyste świętowanie dziesięcio- i dwudziestolecia Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu, połączone z rozpoczęciem nowego roku akademickiego, odbyło się w Auli Uniwersytetu Poznańskiego (przemianowanego 24 grudnia 1955 roku na Uniwersytet im. Adama Mickiewicza). Niewiele materialnych śladów pozostało po tamtych dniach, zaledwie kilka zdań w miejscowej prasie i kilka zdjęć – jak widać poniżej – nie zawsze najlepszej jakości, wykonanych najprawdopodobniej przez Wacława Sokołowskiego (1916–1993), wówczas pracownika, a od 1965 roku dyrektora Biblioteki Głównej Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu, „niestrudzonego kronikarza życia poznańskiej uczelni rolniczej i jej dziejów” – jak napisała o nim w biografii *Słownika bibliotekarzy wielkopolskich 1918–2000* Zofia Kacprzyk.

Prezentowane poniżej zdjęcia – w postaci wywołanych (na szczęście!) negatywów – przeleżały wiele lat w archiwach biblioteki (w której Wacław Sokołowski pracował do 1991 roku), a całkiem niedawno trafiły do redakcji „Więści Akademickich”. Teraz mozolnie, klatka po klatce, staramy się odtworzyć każde z nich i zaprezentować szerszemu forum odbiorców.

Zdjęcia z 1961 roku nie są dobrej jakości. Negatyw jest dość poważnie uszkodzony, porysowany i poplamiony, nie każde zdjęcie jest ostre i/lub doświetlone, widać, że robiono je z dużej odległości. (Chyba nikomu nie trzeba przypominać, że aparaty fotograficzne z tamtych czasów nie miały osiemnastokrotnych „zoomów” – jak dzisiejsze cyfrowki.) Ale nie mamy niczego więcej, dlatego postanowiliśmy kilka klisz pokazać Czytelnikom naszego czasopisma, by choć tak wypełnić lukę w opowieści o historii naszej uczelni. Włączając przy okazji dużą dozę wyobraźni (i szacunku wobec niemal już zabytkowego sposobu utrwalania obrazów, jakim jest analogowy, czarno-biały negatyw), możemy przywołać tamten dzień, sprzed pięćdziesięciu lat.

(Ciąg dalszy na stronie 12)



Rok 1961: przemawia ówczesny rektor Wyższej Szkoły Rolniczej, prof. dr Władysław Węgorek



Ciąg dalszy uroczystości



Immatrykulacja



Przemawia rektor, prof. dr Zbyszko Tuchołka

Z kolei zdjęcia z 1971 roku są już lepszej jakości. Robione są dobrym aparatem fotograficznym, z bliska, z porządną lampą błyskową, na filmie marki ORWO (dziesięć lat wcześniej była to AGFA). Nie wszystkie postaci udało się nam zidentyfikować, w wielu wypadkach mamy tylko przypuszczenia lub domniemania. Jeśli ktoś z Państwa rozpozna kogoś (lub siebie) na tych fotografiach, prosimy o kontakt z redakcją „Więści Akademickich” (adresy i telefony podajemy w stopce redakcyjnej na pierwszej stronie każdego numeru naszego pisma).

Ewa Strycka



Na kilka chwil przed rozpoczęciem uroczystości



Gaudeamus!



Aula, podobnie jak 10 lat wcześniej, była wypełniona po brzegi



Laudacje przed wręczeniem dyplomu i tytułu nowego doktora *honoris causa* Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu



Od lewej: prof. Zofia Charłampowicz; obok niej profesor Felicjan Cieszkowski-Dembiński (przechodzący w 1971 roku na emeryturę) odbiera życzenia z rąk rektora...



... i kwiaty od studentów



Zaproszeni goście...



... i kadra profesorska wraz ze studentami



Tytuł doktora *honoris causa* 2 października 1971 roku odebrał prof. Aleksander Piesocki z Akademii Techniczno-Leśnej w Leningradzie (ZSRR)



Gratulacje od rektora

Fot. 14 x Wacław Sokółowski

Tadeusz Molenda – nie tylko rektor i naukowiec (cz. 1)

Wspomnienia Magdaleny Kowalkowskiej, córki pierwszego rektora Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu – Tadeusza Molendy

Magdalena Kowalkowska (MK): Do Poznania przyjechałam – a w zasadzie wróciłam – w kwietniu tego roku, po pięćdziesięciu latach...

Ewa Strycka (ES):... Mam wrażenie, że po to, abym mogła przeprowadzić z Panią rozmowę bez konieczności wyjazdu do Warszawy...

MK:... Tak! [śmiejch] Mój powrót do Poznania spowodowany był sprawami rodzinnymi. Ciocia, która tutaj [w małej kamienicy na poznańskim Łazarzu – przyp. red.] mieszka, zaprosiła mnie do Poznania i udostępniła to mieszkanko. A ponieważ ciocia jest jedyną bliską nam,



Fot. Ewa Strycka

Magdalena Kowalkowska (z domu Molenda); w ręku trzyma wojenną „ślubną” fotografię rodziców (w zbliżeniu prezentujemy ją na stronie 27); za nią na bufecie stoi maszyna do pisania – na identycznej swego czasu pisał rektor Molenda

to znaczy mnie i moim dwóm siostram, osobą, która jest z pokolenia jeszcze naszych rodziców, chętnie przyjąłam zaproszenie.

ES: Jak odnajduje się pani z powrotem w Poznaniu?

MK: Fantastycznie! Po pierwsze, Poznań mi się kojarzy z najpiękniejszym okresem mojego życia, to znaczy z dzieciństwem, a także z czasami studiów w Wyższej Szkole Rolniczej. Były to dla mnie bardzo dobre czasy. Po drugie zaś, w Poznaniu jest specyficzny klimat i atmosfera większej kultury, dobrej energii, bliskości Zachodu. To coś zupełnie innego niż Warszawa. Myślę, że bardzo będę lubiła to miasto, już do końca mojego życia. Tak przy okazji muszę powiedzieć: to miło, że jeszcze ktoś mojego ojca pamięta...



Fot. Krystyna Madejska

Jeziorko w Parku Sołackim

ES: Zawsze będzie się o nim pamiętać, jest przecież częścią historii Uniwersytetu Przyrodniczego.

MK: Tak, a poza tym jako specjalista nauk leśnych jest również wciąż cytowany.

ES: To dobrze świadczy o jego dorobku naukowym. Z tego co wiem, pani też jest leśnikiem z wykształcenia, ale nie kończyła pani uczelni warszawskiej, lecz poznańską. Dlaczego?

MK: Do Poznania przyjechałam na drugim roku. Uciekłam z uczelni warszawskiej, ponieważ spotykało mnie tam mnóstwo nieprzyjemności, głównie z powodu mojego nazwiska. Wydawałoby się, że mając nazwisko znane w środowisku, zwłaszcza naukowym, będzie mi łatwiej niż innym, ale było wręcz przeciwnie. Z wielką przyjemnością rozpoczęłam studia w Wyższej Szkole Rolniczej w Poznaniu, wspominałam ten czas bardzo miło, nie spotkały mnie tu żadne złośliwości, żadne szykany, żadne komentarze, byłam traktowana tak samo, jak każdy inny szeregowy student. Fantastycznie się czułam na tej uczelni!

ES: A u kogo zrobiła Pani pracę dyplomową i na jaki temat?

MK: Pracę dyplomową napisałam u profesora Podgórskiego, a tytuł jej brzmiał: „Wycena szkód gospodarczych i przemysłowych w lasach”.

ES: Dlaczego wybrała Pani leśnictwo?

MK: Mój ojciec miał trzy córki (każda po kolei była zaplanowanym synem [śmiejch], ale się nie udało) i marzył o tym, żeby choć jedna



Fot. Andrzej Guranowski

Park Sołacki zimą



W tym parku doskonale się odpoczywa



Jeden z urokliwych mostków sołackich

Fot. 2 x Ewa Strycka

z nas kontynuowała tradycję rodzinną, ponieważ z dziada pradziada (ze strony mamy) w rodzinie byli leśnicy. Dziadek był nadleśniczym w Gniewkowie koło Torunia, wujowie też pracowali w tym zawodzie, pradziadek zdaje się też. A ponieważ zawsze lubiłam przyrodę, nie lubiłam przedmiotów ścisłych (matematykę na egzaminie wstępnym na studia jakimś cudem zdałam [śmiech]), poszłam więc na leśnictwo.

ES: Skoro pani ojciec nie doczekał się syna, to może chociaż wnuka?

MK: Tak, na szczęście tak się stało! Pierwszego wnuka rodzice doczekali się w 1971 roku, kiedy to moja starsza siostra wyszła za mąż i urodziła synka, Rafała. I jeszcze cztery lata, aż do swojej śmierci w 1975 roku, mój tato mógł się cieszyć obecnością tego malucha w swoim życiu. Oczywiście Rafał został natychmiast ukochanym wnukiem, był niesłychanie rozpieszczony, siedział mojemu ojcu wciąż na kolanach i razem z nim „pisał” poważne artykuły i prace naukowe, a tato z nim szalał, wygłupiał się... To było wspaniałe.

ES: Wróćmy więc może do pani dzieciństwa... Jakim ojcem był Tadeusz Molenda dla swych trzech córek?

MK: Cudownym, choć nie miał dla nas zbyt dużo czasu. Trzeba tu podkreślić, że żadna z nas nie odczuwała jakichkolwiek różnic w traktowaniu. Wszystkie byłyśmy tak samo wychowywane i tak samo kochane. Ojciec mój był specyficznym człowiekiem, bardzo kochanym, bardzo dobrym, ale to był urodzony naukowiec. Dla niego nauka, praca – były najważniejsze. Rodzina się do tego dostosowała, nie wyobrażałyśmy sobie, żeby mogło być inaczej.

ES: A jaka była pani mama?

MK: Mama była uzupełnieniem taty, nie pracowała, zajmowała się tylko domem i nami. Ojciec pracował, ale to mama decydowała o wszystkim, co się działo w domu. Szanowała ojca decyzyjnie, pomysły, lecz tak naprawdę to ona musiała o wszystkim myśleć. Ojcu się czasem myliło, która z nas jest w której klasie...

ES: Jaki charakter miał pani ojciec? Jak go pani zapamiętała?

MK: Był raczej człowiekiem poważnym. Oczywiście że żartował, uśmiechał się, ale przede wszystkim myślał o swoich sprawach służbowych, naukowych, a także o tym, żeby utrzymać niemającą przecież rodzinę – z niepracującą żoną – na jakimś poziomie. Nie miał dla nas, córek, zbyt wiele czasu, ale pamiętam, że często zabierał nas na spacer do Parku Sołackiego, obok którego mieszkaliśmy, na łyżwy, na saneczki... Te pagórki wokół wydawały mi się wtedy takie duże, a teraz – są takie malutkie... [śmiech]. Mój ojciec był niesłychanie skromnym człowiekiem i nie potrafił wykorzystywać możliwości, które mu przysługiwały, na przykład talony na samochód czy inne dobra materialne. Nigdy z tego nie korzystał. Zawsze wybierał najskromniejsze

warunki, po prostu: nie bywał, nie chciał, nie prosił, krótko mówiąc, miał tę piękną cechę, że nie był pazerny, choć myślał o nas, swoich córkach, chciał dla nas jak najlepiej, ale bez taryfy ulgowej. Był wobec nas bardzo wymagający i wcale nas pod tym względem nie rozpieszczał. Innym, obcym ludziom owszem, pomagał, bardzo się angażował przy powstawaniu prac doktorskich swoich uczniów, ale nam zawsze mówił: „Idź do biblioteki, poczytaj, poszukaj, znajdź literaturę...” Później, gdy już byliśmy na studiach, też nie pomagał nam w dotarciu do różnych dóbr czy przywilejów (choć oczywiście mógł wiele nam „załatwić”). Nie. Zawsze powtarzał: „Idź sama, zarób uczciwie pieniądze i kup sobie to czy tamto. Uczciwą pracą i tylko tak możesz, koleżanko, do czegoś dojść w życiu”. I był w tym bardzo konsekwentny, nigdy się nie wyłamał. Czasami aż byliśmy na niego złe, przecież inni pomagali swoim bliskim, załatwili im to czy tamto, a nasz ojciec nigdy. Mógł nas przecież wysłać na jakieś stypendia za granicę (w tamtych czasach trudno było dostać paszport, zwłaszcza na Zachód), wystarczyło, aby powiedział dwa słowa temu lub innemu koledze z ministerstwa, większość ludzi piastujących wysokie stanowiska tak postępowała, a nam: „Figa!” Żebyśmy mogły wyjechać na kilka tygodni do Londynu, mama z jakąś przyjaciółką skombinowały fikcyjne zaproszenie (za które oczywiście musiałam zapłacić), wyjechałam z pięcioma dolarami w kieszeni i pracowałam jako sprzątaczką, aby zarobić na swoje utrzymanie. A jednocześnie ojciec krzychał na nas, gdy nie chciałyśmy się uczyć, gonił do nauki języków – bo sam znał ich kilka, a był, to też trzeba podkreślić, samoukiem. Przebywając tylko na terenie Polski nauczył się biegle władać językiem angielskim, niemieckim, francuskim i rosyjskim. Do tego stopnia, że sam pisał artykuły i wygłaszał referaty w tych językach. Był bardzo zdolny w tym kierunku, a przy tym niezwykle ambitny i pracowity. Jednak – tak przynajmniej przypuszczam – nie przez wszystkich mógł być lubiany – z tej prostej przyczyny, że był osobą bardzo skromną. Nie mogę powiedzieć, że był nieśmiały, ale z oporami podchodził do ludzi. Mógł być odbierany jako człowiek dumny, a wręcz zarozumiały, bo często skromność jest mylona z zadzieraniem nosa. On raczej się od ludzi izolował, nie błyszczał na świeczniku, nie brylował w towarzystwie, nie rozpychał się łokciami.

ES: A jak traktował innych ludzi?

MK: Zawsze i niezmiennie wszystkich traktował jednakowo, wszyscy w jego oczach byli równi. Czy to był stróż, czy pani sprzątaczką, czy jakaś ważna persona – wszystkich traktował tak samo grzecznie i z szacunkiem. Na przykład kiedy już zamieszkaliśmy w Warszawie, ojciec dostał z ministerstwa, gdzie pracował, służbowy samochód z kierowcą, panem Franciszkiem. Traktowaliśmy tego człowieka jak członka rodziny, siadał z nami do stołu, nie było mowy, żeby postępować z nim tak, jak niekiedy to robili (i nadal robią) inni: kierowca, a więc idzie jeść do kuchni, bo jest kimś gorszym, niżej postawionym – nigdy tego u nas się nie praktykowało.

ES: Często rozmawiała pani z ojcem na poważne, naukowe tematy?

MK: Tak, zwłaszcza gdy już byłam starsza, zdałam na studia leśne, tato zapraszał mnie do swego gabinetu na poważne, naukowe rozmowy. Sadzał w fotelu, czasem poczęstował lampką koniaku i rozpoczynaliśmy dyskusję. Wtedy właśnie, podczas tych rozmów ojciec sugerował mi, w którą stronę mam pójść, czym się zająć, co studiować. Wtedy też wybrałam temat do swojej pracy badawczej, czyli las w ujęciu komple-



Tadeusz Molenda mniej oficjalnie

sowym, wkomponowany w środowisko przyrodnicze. Jestem autorem lub współautorem wielu publikacji, w zasadzie przez całe życie zawodowe rozwijałam właśnie ten temat, który zasugerował mi przed laty w swoim gabinecie mój ojciec. Pamiętam też takie zdarzenie: już po śmierci ojca dostałam w pracy – w Instytucie Ochrony Środowiska – zadanie: napisać referat na temat związany z pozagospodarczymi funkcjami lasu, a więc o tym, o czym nie raz z ojcem rozmawiałam. Wiedziałam, że w stosie (ogromnym) papierów, które po ojcu zostały w mieszkaniu na ulicy Szucha, na pewno znajduje się artykuł (nie zdążył go już opublikować) na ten temat, który bardzo by mi pomógł w przygotowaniu mojego wystąpienia. Weszłam do tego pokoju i sporym sterty maszynopisów, skryptów, papierów, karteluszków, bibulek w szafach, na szafach, pod nimi... i pomyślałam tylko: jak tu ten artykuł znaleźć? To przecież szukanie igły w stogu siana! I wie pani co, sięgnęłam po kilka pierwszych z brzegu papierów – i to był ten tekst! Do dziś uważam, że to ojciec z nieba pokierował moją ręką. Szkoda, że potem pod tym moim artykułem podpisał się ktoś inny... Ale cóż, byłam wtedy jeszcze młoda i naiwna, pełna zaufania do ludzi i świata...

Część druga rozmowy z rodziną rektora Tadeusza Molendy na stronach 26-29.

Rozmawiała Ewa Strycka



Na wakacjach nad morzem...



... i z ulubionym psem Bardem

Fot. 3 × archiwum Magdaleny Kowalkowskiej

Sześćdziesiąt lat poznańskiej uczelni rolniczej z Wierzenicą i Dembińskimi w tle



Teodor Dembiński (1834–1900), administrator dóbr wierzenickich od roku 1865



Profesor Felician Cieszkowski-Dembiński (1901–1981), jeden z trzech przybranych synów Augusta Adolfa Cieszkowskiego (1861–1932)

Wyższa Szkoła Rolnicza powstała – jako samodzielna uczelnia – przed sześćdziesięciu laty, po wydzieleniu z Uniwersytetu (wówczas Poznańskiego) dwóch jej wydziałów (leśnego i rolniczego). Kolejne zmiany nazwy i statusu – na Akademię Rolniczą, później im. Augusta Cieszkowskiego – doprowadziły ją do miana Uniwersytetu Przyrodniczego, który w prostej linii jest kontynuatorem pierwszej polskiej uczelni rolniczej na ziemiach zaboru pruskiego – Wyższej Szkoły Rolniczej im. Haliny w Żabikowie. Od 21 listopada 1870 roku po dzień dzisiejszy czas działania szkoły im. Haliny, wydziałów uniwersyteckich (Wszecnicy Piastowskiej, Uniwersytetu Poznańskiego) i samodzielnej poznańskiej uczelni rolniczej znaczone jest gronem wybitnych osobowości. Są wśród nich także ludzie związani z Wierzenicą. To August hr. Cieszkowski (1814–1894), założyciel żabikowskiej szkoły; jego syn, August Adolf (1861–1932), donator uczelni w 1919 roku, a także dwa pokolenia rodu Dembińskich.

Wiele spraw związanych z powstaniem i działalnością szkoły im. Haliny w imieniu hrabiego Cieszkowskiego załatwiał ówczesny dzierżawca dóbr wierzenickich, Teodor Dembiński (1834–1900). Tak wspominał jego udział Napoleon Urbanowski w roku 1894: „Pomiędzy gośćmi in-stytucją naukową się interesującymi, wyszczególniono [...] nakoniec Teodora Dembińskiego jako zastępcę nieobecnego donatora szkoły hr. Cieszkowskiego, podówczas dla słabości zdrowia w Wenecji prze-bywającego”¹.

Jego wnuk, Felician Dembiński (1901–1981), w odrodzonej Polsce rozpoczął studia rolnicze na Wszecnicy Piastowskiej, a ukończył na Uniwersytecie Poznańskim. Jeszcze jako student pracował na stanowisku młodszego asystenta, a następnie obronił pracę doktorską. W okresie międzywojennym administrował bądź dzierżawił majątki ziemskie, w tym Drzewce. W 1931 roku został – obok Edwarda Raczyńskiego (1891–1993), Jana Tyszkiewicza (1896–1939) i Pawła Żółtowskiego (1889–1985) – usynowiony przez Augusta Adolfa Cieszkowskiego juniora (zwanego „Gugą”). W imieniu Edwarda Raczyńskiego z Rogalina, późniejszego Prezydenta RP na wychodźstwie, do 1939 roku administrował otrzymaną przez niego od przybranego ojca Wierzenicą. Większość lat drugiej wojny (do 1944 roku) spędził w odziedziczonym majątku Sucha. Po powojennym epizodzie dzierżawy Drzewec, połączonym z funkcją adiunkta wolontariusza, od 1 września 1949 roku zajmował się pracą naukową. Wykładając w Wyższej Szkole Rolniczej, został profesorem zwyczajnym, członkiem rzeczywistym PAN, a także doktorem *honoris causa* macierzystej uczelni. Działał w organach doradczych ministra rolnictwa i rządu, ale nie przyjął propozycji zostania ministrem rolnictwa. O ile w polskich dokumentach powojennych zwykle występuje tylko jego nazwisko rodowe, to na dyplomie powołującym go na członka Królewskiej Szwedzkiej Akademii Rolnictwa i Leśnictwa figuruje nazwisko: „Cieszkowski-Dembiński”, zgodnie z przedwojennym aktem adopcji. Z Wyższą Szkołą Rolniczą był związany do 1971 roku, czyli do końca swojej pracy zawodowej.

Na forum uczelni Felician Dembiński dbał o pamięć o rodzie Cieszkowskich. Jego autorstwa są biogramy Augusta i Augusta Adolfa w *Dziejach akademickich studiów rolniczych i leśnych w Wielkopolsce 1919–1969* oraz artykuł o szkole żabikowskiej². Wcześniej opisał zarys genezy Wydziału Rolniczo-Leśnego i jego rozwój do roku 1939³. Ofiarował uczelni dwa portrety Cieszkowskich i część innych zgromadzonych przez siebie pamiątek. Wobec braku dokumentów czy relacji nie sposób stwierdzić,

¹ Napoleon Urbanowski, *Wspomnienie o Wyższej szkole rolniczej imienia Haliny w Żabikowie*, „Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego” 1894, t. 20, s. 285.

² Felician Dembiński, *Wyższa Szkoła Rolnicza im. Haliny w Żabikowie*, w: *Dzieje akademickich studiów rolniczych i leśnych w Wielkopolsce 1919–1969*, pod red. S. Barbackiego, Z. Borny, E. Matusiewicz, Poznań 1970, s. 9–30 oraz kilka hasel (nie tylko o Cieszkowskich) w rozdziale: *Biografie zmarłych profesorów*, tamże.

³ Felician Dembiński, *Zarys genezy Wydziału Rolniczo-Leśnego i jego rozwój do roku 1939*, w: *Kronika Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu za lata akademickie 1951/1952 do 1958/1959*, pod red. J. Dudy i E. Matusiewicz, Poznań 1960, s. 9–24.



Fot. archiwum E.J. i W. Buczyńskich

Pogrzeb Augusta „Gugi” Cieszkowskiego, Wierzenica, 25 maja 1932 roku; na zdjęciu: delegacja profesorów i dziekanów z Uniwersytetu Poznańskiego

czy miał udział w nadaniu budynkom przy ulicy Wojska Polskiego nazwy „Kolegium Cieszkowskich” i czy uczestniczył w umieszczeniu tam tablicy upamiętniającej obu dobrodziejów uczelni.

Przez całe życie pielęgnował kult pamięci Cieszkowskich, tym samym jako jedyny z czterech adoptowanych synów Augusta Adolfa

wypełniał swe synowskie obowiązki wobec przybranego ojca. Było to wówczas niezwykle trudne, ponieważ czynił to w czasach, kiedy ziemiaństwo – najogólniej mówiąc – nie cieszyło się uznaniem władzy.

Jak wspominała jego towarzyszką życia (od 1968 roku żona), dr Halina Cieszkowska-Dembińska, zawsze z ogromnym sentymentem wspo-



Fot. Ewa Strycka

Dorodne kasztanowce przed dworkiem Cieszkowskich w Wierzenicy; maj 2009 roku



Fot. Włodzimierz Buczyński

Remont siedziby wielkopolskiej linii Cieszkowskich w Wierzenicy trwa; na zdjęciu: stan robót z lipca 2011 roku

minał Wierzenicę, często ją odwiedzał. Opowiadał, że jest z nią związany od dziecięcych lat. Pamiętał, że pod jednym z okazałych kasztanów, które do dziś stoją przed dworem, stawiano jego wózek, gdy rodzice odwiedzali ciocię Klarę⁴, a później bawił się tam z tą już sędziwą krewną. Już jako dorosły, acz wciąż jeszcze młodzieniec, przyjaźnił się z „Gugą” Cieszkowskim, czego dowodem jest list polecający od właściciela Wierzenicy do bliskiego znajomego w Watykanie, w którym rekomenduje i poleca młodego Dembińskiego, udającego się właśnie na sześciomiesięczne studia (odbył je na przełomie 1925/1926 roku) w Międzynarodowym Instytucie Rolniczym w Rzymie. Halina Cieszkowska-Dembińska tak to wspominała: „Pan »Guga« miał bliskiego znajomego w Watykanie (ja nie zapamiętałam nazwiska), a przypuszczam, że piastował tam wysoką godność. Ten list brzmiał następująco – tak jak zapamiętałam – »Do Rzymu wybiera się po raz pierwszy młody człowiek Felicjan Dembiński jako stypendysta Ministerstwa Oświaty, którego znam od dziecka i bardzo proszę przyjmij go tak jak mnie, rozmawiaj z nim tak jak ze mną, udostępni mu zwiedzanie Watykanu łącznie z biblioteką i udziel mu różnych rad, aby czuł się w Rzymie bezpiecznie«. Oczywiście mąż został przyjęty serdecznie i bardzo sobie wysoko cenił to spotkanie i rozmowy [...], wiedział, że każdej chwili w razie potrzeby może tam się udać i liczyć na pomoc”⁵.

U schyłku życia przybranego ojca Dembiński omawiał z architektami: Marianem Andrzejewskim i Stefanem Cybichowskim oraz księdzem Ludwikiem Haase projekt mauzoleum Cieszkowskich, a po śmierci „Gugi” nadzorował w 1936 roku wykonanie drewnianej części naziemnej. W imieniu Edwarda Raczyńskiego i swoim ofiarował kościołowi wierzeniickiemu obraz *Matka Boska przewijająca Dzieciątka*, pochodzący z pierwszej połowy XVII wieku, według tradycji zakupiony przez Augusta Cieszkowskiego we Włoszech.

Pod koniec swojego życia niejednokrotnie bolał nad stanem dworu, który coraz bardziej popadał w ruinę; miał go przecież w pamięci takim, jakim był za życia „Gugi”. Razem z żoną przyjeżdżał do Wierze-

nicy, kiedy czas i pogoda dopisywały, zwłaszcza w maju, zamawiając jednocześnie msze za duszę „Gugi” w rocznicę jego śmierci i pielęgnując groby rodzinne. Dbał też o kaplicę grobową Cieszkowskich, zlecał na przykład wstawianie nowych szyb w miejsce wybitych czy smarowanie trumien olejem (wiele z tych czynności wykonywał kościelny, Władysław Majchrzak).

Ostatni raz do Wierzenicy zajął w styczniu 1981 roku, załatwiając wstawienie w kaplicy grobowej szybek ze szkła zbrojonego i omawiając z historykiem sztuki koszty renowacji подарowanego przez siebie obrazu *Matki Boskiej przewijającej Dzieciątka*. Nie zdążył sfinalizować sprawy, zmarł w Poznaniu 11 lutego 1981 roku, wracając z Kicina po pogrzebie inż. Jana Radomskiego. Wcześniej ostatni raz widziała go tutaj w Wierzenicy latem 1980 roku mieszkanka tej wsi, Bogumiła Pawlak⁶. Był piękny, słoneczny dzień, Profesor wysiadł z samochodu i przeszedł wzdłuż dworu, zatrzymując się przy kasztanowcach. Potem odjechał w stronę kościoła.

Felicjan Cieszkowski Dembiński jest pochowany w Poznaniu na cmentarzu junikowskim.

Post scriptum z ostatniej chwili

To, czego w odniesieniu do nekropolii Cieszkowskich nie zdążył zrealizować prof. Felicjan Dembiński, doczekało się realizacji w wymiarze przekraczającym jego najśmielsze marzenia. Od czerwca do października 2011 roku w krypcie wykonano generalny remont. Budowla została zabezpieczona przed wilgocią, wykonano nowe odwodnienie, odnowiono całe wnętrze, także trumny Cieszkowskich, łącznie z tabliczkami i pasyjkami, a każda z nich zyskała swój indywidualny postument. Zakończono pierwszy etap zmiany oświetlenia, przebudowano schody zejściowe oraz odnowiono drzwi. Efekty tych prac (widoczne na zdjęciu na str. 21) podziwiali 8 października tego roku władze Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, z rektorem, prof. dr. hab. Grzegorzem Skrzypczakiem i prorektor, prof. dr hab. Moniką Kozłowską.

Ewa J. i Włodzimierz Buczyński

⁴ Klara Dembińska (1829–1910) po śmierci Haliny (Heleny) Cieszkowskiej (1836–1861) przez wiele lat opiekowała się osieroconymi dziećmi Augusta Cieszkowskiego i pomagała w prowadzeniu wierzenickiego gospodarstwa domowego. Szerzej o tej postaci pisaliśmy w numerze specjalnym (XVII) „Więści Akademickich” z 18–21 listopada 2010 roku (przyp. red.).

⁵ Halina Cieszkowska Dembińska, „Syn pana „Gugi”, „Wierzeniczenia” [pismo wychodzące przy parafii św. Mikołaja w Wierzenicy] 4 (33) z 2004 roku.

⁶ Włodzimierz Buczyński, Natalia Pawlak, *Dembińscy w Wierzenicy*, „Wierzeniczenia” 4 (20) z 2002 roku.



Ksiądz Przemysław Kompf, proboszcz parafii św. Mikołaja w Wierzenicy, prowadzi gości (w tym rektora, prof. dr. hab. Grzegorza Skrzypczaka i prorektor, prof. dr. hab. Monikę Kozłowską) z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu do remontowanej krypty grobowej Cieszkowskich; październik 2011 roku



Przedstawiciele naszej uczelni w odnawianej krypcie przed trumną Pawła Cieszkowskiego (1786-1862), ojca Augusta (seniora); październik 2011 roku

Fot. 2 x Włodzimierz Buczyński

List pisany z pobytu Cieszkowskiego we Włoszech (Wenecja), data podana. August Cieszkowski wiele podróżował, tak w celach naukowych, jak i dla podreperowania zdrowia, zostawiając gospodarowanie w swoich dobrach kolejnym administratorom (choć nie skąpił im swoich listownych uwag). W 1870 roku administratorem był Teodor Dembiński, który gospodarował w Wierzenicy od 1865 roku przez około 12 lat.

Siostra Teodora, Klara Dembińska, opiekowała się synami Augusta Cieszkowskiego od 1868 roku, a później zajmowała się domem Cieszkowskich do swojej śmierci w 1910 roku.

„Pamiętnik panny Klary Dembińskiej” opublikowałam z rękopisu w czasopiśmie „Pamiętnik Biblioteki Kórnickiej” 2003 z. 26, s. 81–95. Tekst jest też dostępny w Wielkopolskiej Bibliotece Cyfrowej¹.

Klara Dembińska, po której śmierci August junior napisał: „matkę straciłem”, przechowała listy Augusta Cieszkowskiego wraz z innymi dokumentami. W czasie drugiej wojny skrzywnię ze spuścizną Klary Dembińskiej przechował służący z Wierzenicy, Wojciech Jędroczyk, po wojnie oddał ją rodzinie Dembińskich. Do Biblioteki PTPN przekazała ją Halina Cieszkowska-Dembińska, wdowa po prof. Akademii Rolniczej, Felicjanie, zgodnie z wolą samego profesora.

Laboremus!

List Augusta Cieszkowskiego do Teodora Dembińskiego²

Wenecja 14.11.[18] 70

Kochany Panie Dembiński,

Donosisz mi, żeś otrzymał zaproszenie od Zarządu Centralnego Towarzystwa Gospodarczego do asystowania w moim imieniu otwarciu naszej od dawna upragnionej Szkoły Rolniczej i zapytujesz się mnie przy tej sposobności, czy nie chciałbym, abyś cokolwiek ode mnie do rozpoczynającej nauki agronomicznej Młodzieży przemówił. Naprzód pozwól mi odpowiedzieć Ci, że masz wszelkie i dobrze zasłużone prawo przemówienia do Niej we własnym swoim imieniu, a to nie tylko jako wzorowy rolnik i gospodarz, który za przykład służyć może kształcącej się do tego zawodu Młodzieży, ale oprócz tego jako jeden z tych, którzy osobiście przyłożyli rękę do dzieła i takowe mimo trudności czasowych do skutku doprowadzili. Dlatego też pozwól mi znowu, kochany Panie Teodorze, powtórzyć Ci za te osobiste i skuteczne usiłowania równie serdeczne podziękowania jak te, które w przeszłym miesiącu na pierwszą wieść o otwarciu Szkoły, Szanownemu naszemu Prezesowi³ i całemu Zarządowi T. C. G. złożył pośpieszyłem. Na list ten mój z Recoaro⁴ pod dniem zdaje mi się 9 p[rrzeszłego] m[iesiāca] wysłany, w którym obok podziękowania wyrażałem pełne otuchy życzenia dla Szkoły pod przewodnictwem tak światłego i już w zawodzie swoim doświadczonego Dyrektora⁵, odpisał mi Prezes pod dniem 27go p[rrzeszłego] m[iesiāca] i między innymi wiadomościami, które był łaskaw mi udzielić, doniósł też, że akt otwarcia Szkoły odbędzie się w skromnych i cichych rozmiarach, odkładając wszelką uroczystość do pierwszego popisu po rocznym istnieniu szkoły. Ucieszyłem się bardzo temu postanowieniu, tak trafnie odpowiadającemu naszym potrzebom, które przede wszystkim Pracy i Nauki, a nie słów ani uroczystości wymagają. Na słowach i mowach nam nigdy nie zbywało, dziś więcej niż kiedykolwiek garniemy się do skromnej, ciągłej i surowej pracy.

Jakkolwiek już samo otwarcie Szkoły jest dla Zarządu i całego Towarzystwa samo przez się pocieszającym czynem, doprowadzając do skutku i wprowadzając w życie to, co Towarzystwo na czele swych zadań zapisało, to przecież po roku doświadczenia, po naocznym i wszechstronnym, przekona ich się o użyteczności i żywotności Instytucji.

Wnosiłem więc z listu Prezesa, że inauguracja ograniczy się staropolskim obyczajem na wezwaniu Opieki Bożej nad rozpoczynającym się dziełem dobrej woli, myślałem nawet, że nasz Arcypasterz, gdyby był w Poznaniu obecny, nie odmówiłby swego Prymasowskiego Błogosławieństwa, lecz oprócz religijnego aktu, którym przodkowie nasi wszelkie przedsięwzięcia zagajali [... – brak dokończenia]

Jeżeli zaś wolisz w moim imieniu do Młodzieży przemówić, to i na to się zgadzam, ale w takim razie nie obarczę Cię zaiste długą mową, wiesz, że takich nigdy nie lubiłem.

Jedno tylko słowo.

Słowo, które nam Starożytność już przekazała, a którego wagę świat nowożytny coraz bardziej uznaje. Słowo, które w szczęściu utwardza, w nieszczęściu dźwiga, które nigdy nie zawodzi, a zawsze uszlachetnia.

To słowo rad bym nie złotymi literami na ścianie lub bramie zakładu, ale na sercu i myśli Młodzieży naszej wyryc.

O tym jedynym słowie miałbym wprawdzie dużo do powiedzenia, ale to wolę, da Bóg doczekać, do rocznego popisu odłożyć, chyba że kochani Uczniowie sami mnie uprzedzą i zakosztowawszy pożytków naukowej pracy wyręczą mnie na przyszłym popisie lepszym niż moja mowa wypracowaniem na temat laboremus⁶. To byłaby dla nas wszystkich pociecha.

Zaiste Dyrekcja i Nauczyciele czynić będą, co tylko mogą, ale od pracy uczniów zawisła cała przyszłość Szkoły. Daj Boże, aby było kiedyś, jak to bywa w innych zakładach, gdy samo imię ucznia tej lub owej szkoły otwiera wrota do najróżniejszych zawodów i przez całe życie z chlubą się nosi. Daj Boże, aby może kiedyś i u nas do tego przyszło, iż predykat⁷ ucznia szkoły rolniczej imienia Haliny stanie się na całe życie tytułem i rekomendacją.

Pracujmy więc wszyscy: Nauczyciele i Uczniowie, Zarząd i przyjaciele, a Bóg poszczęści i pobłogosławi ludziom dobrej woli.

List pochodzi ze zbiorów Biblioteki Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk⁸

Opracowanie: Joanna Pietrowicz

¹ Obszerne fragmenty tego pamiętnika opublikowaliśmy także w specjalnym wydaniu „Więści Akademickich” (nr XVII z 18–20 listopada 2010 roku) (przyt. red.).

² Teodor Dembiński (ok. 1834–1900) – dzierzawca majątku Augusta Cieszkowskiego w Wierzenicy od 1865 roku.

³ W 1870 roku prezesem Centralnego Towarzystwa Gospodarczego był Włodzimierz Wolniewicz (1814–1884), dziedzic Żrenicy w powiecie średzkim.

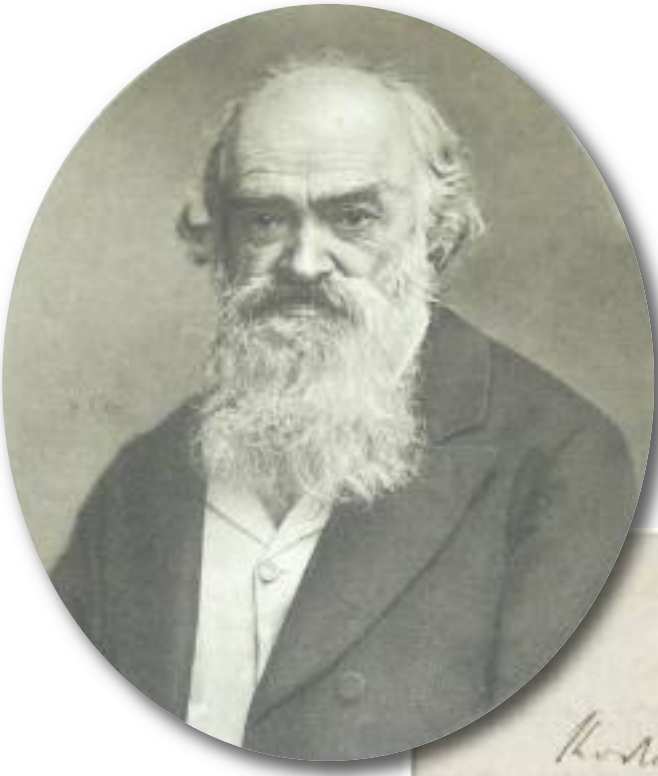
⁴ Recoaro – miejscowość we Włoszech.

⁵ Juliusz Au (1842–1888) – dyrektor Wyższej Szkoły Rolniczej im. Haliny w latach 1870–1876.

⁶ *Laboremus* (łac.) – pracujmy.

⁷ Predykat – dawniej: przydomek.

⁸ List stanowi fragment jednostki rękopiśmiennej o sygnaturze rkp. 1875 (karty 23–25). W tekście niniejszej edycji uwspółcześniono ortografię oraz interpunkcję, a także zmieniono archaiczne końcówki wyrazów, na przykład: mojem = moim.



August hr. Cieszkowski;
ilustracja z pierwszego tomu
Ojciec Nasz (Poznań 1905)

23

Wrony 14/11/90

Wielce szanowny Panie Dembiński

Donoszę mi się o tym, że otrzymałem
od Państwa lekarza i Towarzystwa
Szpitalnego do asystowania w moim
imieniu otworzenie nowej oddziału w
niej szpitalu Polickim, - i przyjęcie
niezależnie tej propozycji w związku
z tymże wszelkich odroczeń do rozpoznania
jej wamże wyznaczonymi. Wskazyję
między. Naprawdę poradził mi odpowiednio
leżeć w moim rodzinnym i dobrej restauracji
w Warszawie. W tymże w sprawie
moim i wyprzedzić wamże za pomocą
kuchennym w dotychczasowym. Wskazyję
opiszę też jako jeden z tych, którzy
podjęli się do dzieła i które mimo trudności
nie przeszkodziło do skutku doprowadzić. W
temże poradził mi również lekarz Panie
Dobrym i szanownym

Faksimile listu Augusta Cieszkowskiego do Teodora Dembińskiego

Profesor Zygmunt Pietruszczyński

(*25 stycznia 1886 – †27 stycznia 1965)

Mój mistrz – profesor Marian Falkowski – był uczniem profesora Zygmunta Pietruszczyńskiego, wieloletniego kierownika Katedry Ogólnej Uprawy Roli i Roślin na Uniwersytecie Poznańskim. Pod Jego kierunkiem rozwijał się naukowo, z niego czerpał wzorce do naśladowania, i to w wielu sferach. Profesor Pietruszczyński był Jego mistrzem. Marian Falkowski zawsze wspominał Go z szacunkiem i uznaniem. Zawsze mówił o Nim ciepło i serdecznie, szczególnie wówczas, gdy nazywał Go: „Pietrucha”. Z przyjemnością słuchałem tych wypowiedzi. Los złączył Mariana Falkowskiego, i to na wielu płaszczyznach, z Haliną Tucholską – również dojrzewającą i rozwijającą się naukowo pod kierunkiem profesora Zygmunta Pietruszczyńskiego. Podczas naukowych i okolicznościowych spotkań, zwłaszcza w naszej łączności Katedrze, Marian Falkowski i Halina Tucholska często przywoływali swojego Nauczyciela. Dane mi było być tego świadkiem. Postać profesora Pietruszczyńskiego stawiała się dla mnie coraz bardziej interesująca.



Zygmunt
Pietruszczyński
(1886–1965)

Bardzo ważnym momentem w poznawaniu profesora Pietruszczyńskiego była uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej ku czci Profesora i Jego żony, Wandę, na ich domu przy ulicy Podlaskiej 2, gdzie dziś znajduje się przedszkole.

„Ludzka pamięć jego sprawy uwieczni – był to mąż prawy” – ten werset psalmu, który wówczas spontanicznie powtarzałem, streszczał całe życie Profesora i Jego żony. Stanowił też swoistą zachętę do utrwalenia pamięci Profesora i przypomina o Nim współczesnym uczynom, nie tylko naszego uniwersytetu. Odszedł już do wieczności Marian Falkowski. Pozostała Halina Tucholska. Pozostała ze swoimi wspomnieniami i z tym nigdy niewypowiedzianym wyrzutem odczytywanym w jej oczach – „Niech pan o Nim coś napisze, ja już tak ładnie nie potrafię”. Ten wyrzut zaowocował.

W Archiwum naszej uczelni spotkałem teczkę spraw osobowych profesora Zygmunta Pietruszczyńskiego. Nie – nie teczkę. Spotkałem Profesora...

Przyszedł na świat w czas wielkiej narodowej żałoby po upadku Powstania Styczniowego. Zrodziła Go Henryka z Braclawskich w Puławach – mieście, które posiadało od dawna naukowego ducha. Jego Ojciec – Franciszek – był nauczycielem, najpierw w Łaniszach pod Kutnem, a potem w Łodzi. Kiedy porzucił szkolnictwo, stał się buchalterem i kasjerem w ówczesnym Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Puławach. Wszystkie te okoliczności – czasu i miejsca, a przede wszystkim wartości rodzinnego domu – wpisały się w trwały stopniu w życiorys Zygmunta Pietruszczyńskiego. Wyznaczały Jego przyszłość.

Nauki gimnazjalne zdobywał w Warszawie. Pierwszą placówką była rządowa (czytaj: carska) szkoła realna. Za przynależność do tajnej socjalistycznej organizacji młodzieżowej został z niej wydalony. Pozbawiono Go również prawa wstępu do szkół rządowych. Następną szkołą było prywatne gimnazjum Wojciecha Górskiego. Za organizowanie w 1905 roku strajku powszechnego został aresztowany. Maturę zdawał więc w systemie eksternistycznym. Za taką postawę i działalność został później odznaczony krzyżem „Za walkę o szkołę polską”.

Studia rolnicze odbywał na Wyższych Kursach Rolniczych w Warszawie, stanowiących wówczas ważny etap formowania późniejszej Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego (SGGW). Podczas studiów w Warszawie Zygmunt Pietruszczyński pełnił obowiązki asystenta u profesora Antoniego Sempalowskiego (poznając metody pracy z zakresu uprawy i hodowli roślin) oraz u profesora Sławomira Miklaszewskiego (zapoznając się z metodami badań gleboznawczych). Warto zaznaczyć, że przed ukończeniem studiów został przez Komisję Fizjograficzną delegowany do przeprowadzenia badań gleboznawczych w okolicach Kielc i Puław. Zaowocowały one pierwszymi publikacjami.

Dyplom uzyskał w 1909 roku, a pracę dyplomową wykonał na temat *Uprawy buraków cukrowych według najnowszych badań*. Ukończeniu studiów towarzyszyło przyznanie stypendium z „Kasy Pomocy im. Dr. Mianowskiego dla osób pracujących na polu naukowym”. Zygmunt Pietruszczyński udał się więc do Halle w Saksonii, gdzie na Wydziale Filozoficznym tamtejszego uniwersytetu pogłębiał swoje przyrodnicze i rolnicze zainteresowania, zdobywając specjalistyczną wiedzę, głównie z zakresu hodowli roślin i doświadczeń rolniczych, a także prowadził badania nad cechami kserofilnymi odmian zbóż i traw łąkowych. Poza normalnymi programowymi zajęciami pracował naukowo – w niektórych instytutach uniwersytetu – oraz fizycznie – na polach doświadczalnych i selekcyjnych. Nawiązane kontakty naukowe z tym ośrodkiem uniwersyteckim, a także z Uniwersytetem w Lipsku, Zygmunt Pietruszczyński podtrzymywał w następnych latach, jeżdżąc tam w ramach urlopów naukowych.

Po opuszczeniu Halle znalazł na krótko zatrudnienie w Akademii Rolniczej w Dublanach i nieco później w Katedrze Chemii Rolnej SGGW w Warszawie. Dłużej trwała praca w Kowieńskiej Stacji Doświadczalnej i Chemiczno-Rolniczej w Bejsagole oraz w Smoleńsku, gdzie stacja ta, w efekcie działań wojennych, została ewakuowana.

Działalność Zygmunta Pietruszczyńskiego w stacji została dostrzeżona przez Departament Rolnictwa Rosji, czego wyrazem było powołanie Go do „prac związanych z organizacją zbioru, suszenia, prasowania i ekspedycji siana dla potrzeb armii rosyjskiej na froncie” oraz oddelegowanie do „kierowania akcją Monopolu Zbożowego guberni smoleńskiej”. Jego praca na tym stanowisku została też zaakceptowana przez bolszewicką Radę Smoleńską po zwycięstwie rewolucji październikowej.

Pobyty w Smoleńsku Zygmunt Pietruszczyński nie ograniczał do pracy zawodowej, prowadził też działalność polityczno-społeczną. Wspomagał komitet pomocy wygnańcom, organizował opiekę nad więźniami politycznymi. Działał również, początkowo konspiracyjnie, w strukturach Polskiej Partii Socjalistycznej. Po rewolucji październikowej Zygmunt Pietruszczyński stanął na czele Smoleńskiego Komitetu Okręgowego PPS oraz został wybrany, na podstawie powszechnego głosowania uchodźców polskich, na przewodniczącego Polskiej Rady Wygnańczej Okręgu Smoleńskiego. Funkcję tę pełnił do momentu wyjazdu ze Smoleńska do Warszawy. Mimo pozytywnego nastawienia nowych władz rosyjskich do Jego osoby zdecydował się na powrót do Warszawy, co nastąpiło w maju 1918 roku. Tutaj Zygmunt Pietruszczyński został powołany do różnych prac, głównie o charakterze organizacyjnym, w Ministerstwie Rolnictwa i Dóbr Państwowych. Przygotowywał, można tak stwierdzić, ministerstwo do funkcjonowania w Polsce niepodległej.

Praca Zygmunta Pietruszczyńskiego w ministerstwie została jednak przerwana propozycją Rady Wydziału Rolniczo-Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego powołania Go na Katedrę Ogólnej Uprawy Roli i Roślin w Poznaniu w charakterze profesora nadzwyczajnego. Odpowiedź była pozytywna. Rozpoczął się poznański etap życiorysu profesora Zygmunta Pietruszczyńskiego.

Na tej uczelni zajął się z całą mocą jako badacz, dydaktyk i organizator. Znamiennym tego dowodem było wykładanie takich przedmiotów, jak: ogólna uprawa roli i roślin, szczegółowa uprawa roślin, uprawa łąk i pastwisk, nasiennictwo, nasionoznawstwo, odmianoznawstwo, doświadczenia, agrobiologia, rośliny lekarskie, towaroznawstwo produktów rolnych.

Szczególną formą naukowej działalności Profesora było podjęcie inicjatywy i organizowanie Zjazdów Naukowo-Rolniczych (pierwszy – w 1919 roku w Puławach, drugi – w 1922 roku w Bydgoszczy, trzeci

ci – w 1929 roku w Poznaniu). Stanowiły one ważne miejsce dyskusji dla wyznaczenia nowych kierunków badawczych i organizacji nauki w wolnej Rzeczypospolitej. Profesor czynnie w nich uczestniczył, wygłaszając referaty i prowadząc dyskusje. W podobnym stylu zaznaczał swoją obecność na zjazdach przyrodników i lekarzy, a także na międzynarodowych kongresach rolniczych.

Okazją do zdobywania naukowych i organizacyjnych szlifów były wyjazdy naukowe Profesora do zróżnicowanych rolniczo krajów europejskich – Szwecji, Norwegii, Danii, Holandii, Belgii, Francji, Austrii, Czechosłowacji, Węgier, Włoch, Jugosławii, Niemiec.

Możliwość zdobywania wiedzy stwarzało także członkostwo i pełnienie funkcji w różnych gremiach naukowych: Komisji Nauk Rolniczo-Leśnych Polskiej Akademii Umiejętności, Komisji Nauk Rolniczych i Leśnych oraz Komisji Biologicznej Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, Polskiego Towarzystwa Gleboznawczego, Towarzystwa Przyrodniczego im. Mikołaja Kopernika. Uchwałą walnego Zebrania Czechosłowackiej Akademii Rolniczej został wybrany korespondentem tej uczelni. Był członkiem Międzynarodowego Towarzystwa Hodowców Roślin oraz Polskiego Związku Hodowców i Wytwórców Nasion.

Społeczność akademicka Wydziału Rolniczo-Leśnego doceniła naukowe i organizacyjne walory profesora Zygmunta Pietruszczyńskiego, powierzając Mu rolę dziekana (na lata akademickie 1927/1928 i 1928/1929), a także delegata wydziału do Senatu. Dziekanem został też wybrany w 1939 roku. Funkcję tę pełnił w ukryciu przez całą okupację.

Autorytet, jaki uzyskał w środowisku poznańskim, sprawił, że w 1929 roku Zygmunt Pietruszczyński został zaproszony przez Wydział Matematyczno-Przyrodniczy Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie do prac organizacyjnych, które zaowocowały utworzeniem tam Wydziału Rolniczego.

W 1938 roku Zygmunt Pietruszczyński został zaproszony przez Państwowy Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach do zorganizowania Instytutu Badań nad Ziemiakiem i objęcia go kierownictwem naukowym. Dzieło to realizował w Bydgoszczy, w tamtejszej filii puławskiego instytutu.

We wrześniu 1939 roku rozpoczął się kolejny – ważny i niezwykle trudny etap pracy i działań profesora Zygmunta Pietruszczyńskiego. Na polecenie Ministerstwa Oświaty 4 września udał się do Warszawy, aby podjąć działania ewakuacyjne Senatu Akademickiego Uniwersytetu Poznańskiego do Jarosławia. Po przyjeździe dowiedział się, że sprawa ewakuacji jest już nieaktualna. Wraz z żoną pozostał jednak w Warszawie do 1 lutego 1940 roku i zamieszkał u Aleksandra Wojciechowskiego – urzędnika Banku Polskiego, a zarazem swojego szwagra. W tym okresie dużej pomocy doświadczył również od władz Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, zwłaszcza jej rektora, profesora Jana Miklaszewskiego, na którego wniosek został też powołany w poczet profesorów tej uczelni. Materialnego wsparcia doznał od profesora Witolda Staniszkisa.

W styczniu 1940 roku profesor Zygmunt Pietruszczyński przeniósł się do Puław. Zaproszony został przez władze Państwowego Instytutu Naukowego jeszcze przed przejściem tej jednostki przez niemieckiego okupanta. W tym instytucji przeżył całą okupację, tam też starał się skupić młodzież, nie tylko o rolniczych zainteresowaniach, lecz potrzebującą opieki i ochrony przed wywiezieniem do obozów i na roboty do Niemiec. Pod kierunkiem Profesora pracowało 27 pracowników w rozmaitym charakterze – asystentów, sił technicznych, robotników. Niektórzy z nich tajnie przygotowywali się do matury i ją zdawali, inni uzupełniali swoje wiadomości z zakresu przyrody i rolnictwa.

W ciągu całego okresu okupacji Zygmunt Pietruszczyński pełnił potajemnie obowiązki dziekana Wydziału Rolniczo-Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego. Pozostając w Puławach, prowadził tajne wykłady i zajęcia, przyjmował dojeżdżających studentów, ułatwiał im naukę, egzaminował, kierował na studia do wybranych profesorów Uniwersytetu Poznańskiego lub Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, co czynił w porozumieniu z dziekanami wydziału rolniczego i leśnego tej uczelni.

Przewidując bliskie zakończenie wojny, w maju 1944 roku złożył wniosek o przeniesienie Wydziału Uprawy Roli i Roślin do Skierniewic, gdzie znajdowała się już filia instytutu puławskiego. Myślą przewodnią była obecność na szlaku komunikacyjnym do Poznania. Po wysłaniu do Skierniewic ważniejszych i droższych aparatów laboratoryjnych przyjechał z gronem asystentów i pracowników technicznych. Wyczuwając zbliżającą się klęskę, Niemcy dali jednak polecenie wysłania aparatury do Münchebergu. Jednakże Profesor i jego współpracownicy ukrywali drogą aparaturę, a pakowali drugorzędną i uszkodzoną, dokładając także kamienie i cegły. Po przejściu Armii Czerwonej wydobyto z ukrycia aparaturę i przewieziono ją do Poznania.

Natychmiast po opuszczeniu Warszawy przez Niemców Profesor nawiązał kontakt z Delegaturą Ministerstwa Oświaty i po otrzymaniu pełnomocnictwa na dalsze pełnienie funkcji dziekana powrócił 10 marca do Poznania, aby rozpocząć prace nad uruchomieniem Wydziału Rolniczo-Leśnego. Pracował ze zdwojoną siłą. Po raz czwarty wybrało go dziekanem w 1946 roku, lecz był nim krótko. Nie był to jednak kres dziekańskiej służby. Ministerstwo Oświaty, na wniosek Rady Głównej do Spraw Nauki i Szkolnictwa Wyższego, powołało bowiem profesora Zygmunta Pietruszczyńskiego na stanowisko dziekana na lata 1949/1950 i 1950/1951.

W nowej rzeczywistości politycznej Profesor usiłował odnaleźć dla siebie stosowne miejsce. Poglądów nie zmieniał, pełnił powinność uczonego, „nie kłaniał się okolicznościom”. W roku 1945 został powołany na członka Komitetu Współpracy z FAO. Podjął się także, na zlecenie Ministra Rolnictwa, zorganizowania Pracowni Odmianoznawczej przy swojej Katedrze. Zaangażował się w działalność Rady Naukowej Rolniczej w Ministerstwie Rolnictwa i Reform Rolnych, Rady Głównej i Komisji Oświatowej Wielkopolskiego Towarzystwa Kółek Rolniczych, Wielkopolskiej Izby Rolniczej, Zarządu Głównego Samopomocy Chłopskiej, Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Był członkiem założycielem Klubu Demokratycznej Profesury. Aktywnie uczestniczył w akcjach na rzecz ochrony pokoju. Patronował działaniom upowszechniania wiedzy rolniczej.

W dalszym ciągu z rozmachem prowadził działalność badawczą i dydaktyczną. Pomagał uczonym, których dotknęły represje. Był jeszcze w pełni sił, kiedy utworzono Wyższą Szkołę Rolniczą. Rozwijał swoją Katedrę. Czas polskiego Października okazał się dla niego porą emerytury. Nie zrezygnował z uprawiania nauki, chociaż jego Katedra wyróżniała się różnorodnością politycznych opcji. Pozostał wierny nauce i misji uczonego do końca swych dni.

W naukowym wizerunku profesora Zygmunta Pietruszczyńskiego dają się wyróżnić pewne dziedziny, które podejmował w pracach badawczych, adekwatne do czasów, w których żył. Zwraca też uwagę postawa, którą Profesor wykazywał – trwanie w europejskiej tematyce badawczej i podejmowanie badań nowatorskich, możliwych do przeprowadzenia w polskich warunkach. Chłoniąc nowości z pracowni uniwersytetów w Halle i Lipsku. Przebywając tam, prowadził badania nad cechami kserofilnymi odmian zbóż i traw łąkowych. Interesował się hodowlą roślin i doświadczalnictwem rolniczym. W Akademii Rolniczej w Dublanach zajął się nityfikacją amoniaku i czynnikami, które ją determinują. Pracując na Uniwersytecie Poznańskim, podejmował badania uprawy ziemniaków, pszenicy, żyta, niektórych roślin pastewnych – zwłaszcza lucerny. Nie koncentrował się jednak na kwestiach agrotechnicznych – podejmował badania o charakterze fizjologicznym. Mocną stroną w pracach badawczych były też kwestie odmianowe.

Odnosząc publikacyjny dorobek naukowy Profesora Pietruszczyńskiego do współczesnych kryteriów i możliwości edytorskich, można stwierdzić, że nie jest bogaty. Jednakże należy go widzieć w realiach tamtych lat. Uwagę zwracają wyraźnie obszerne monografie, między innymi *Uprawa ziemniaków* (Wilno 1913, 41 stron) *Uprawa lucerny* (Poznań 1931, 22 strony), *Uprawa rzepaku i rzepiku* (Poznań 1934, 86 stron). Ważną pozycją były rozdziały w podręczniku *Szczegółowa uprawa roślin* wydanym w 1951 roku (*Rośliny oleiste* [130 stron] oraz *Rośliny motylkowate* [45 stron]). Dużą wartość historyczną mają takie opracowania, jak: *Produkcja roślinna w Polsce. Bilans Gospodarczy Dziesięciolecia Polski Odrodzonej* (1929), czy też *Nowe kierunki w produkcji roślinnej* (Warszawa 1934), a także *Wytwórczość gruntów ornych Królestwa Kongresowego – Stosunki rolnicze Królestwa Kongresowego* (Warszawa 1918). Na szczególne podkreślenie zasługuje wydana w Poznaniu, w roku 1937, monografia *Produkcja roślinna w Wielkopolsce – jej przeszłość i teraźniejszość*, licząca 370 stron. Dzięki temu dziełu Profesor związał się najmocniej z Wielkopolską.

Spoglądając na Profesora Zygmunta Pietruszczyńskiego z perspektywy mijającego prawie półwiecza od dnia Jego śmierci, łatwo dostrzec w Jego życiu i pracy nieprzemijające cechy i wartości. Przede wszystkim wierność nauce i uniwersytetowi, oddanie im wszystkich swych życiowych sił i możliwości. Był uczonym nie tylko „dla złudnej sławy”. Wszystko, co czynił, ukierunkowane było na rozwój Rzeczypospolitej w sferze nauki i rolnictwa. Wszystkie innowacje osiągnięte przez pracę własną, studiowanie literatury i bezpośrednie kontakty z europejską technologią rolniczą przekazywał polskiemu rolnictwu i polskimi rolnikom. Kreował nowe pokolenie absolwentów, bogatych mądrością, nie tylko samą wiedzą. Kochał studiującą młodzież i w niej pokładał nadzieję na przyszłość. Niewątpliwie posiadał nieprzeciętne zdolności organizacyjne i w tym kontekście był mężem opatrnościowym dla uniwersytetu, dla naszej uczelni. W każdym człowieku dostrzegał Człowieka. Sam nim się stawał coraz bardziej każdego dnia...

Stanisław Kozłowski

Tadeusz Molenda – nie tylko rektor i naukowiec (cz. 2)

Wspomnienia córki Tadeusza Molendy, Magdaleny Kowalkowskiej, oraz jego siostry, Heleny

Ewa Strycka (ES): W 1961 roku wyjechaliście państwo z Poznania...

Magdalena Kowalkowska (MK):... Tak. W 1961 roku ojcu zaproponowano stanowisko podsekretarza stanu w Ministerstwie Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego. Przypuszczam, że w tamtych czasach potrzebni byli na wysokich stanowiskach ludzie dobrze wykształceni, z dużą wiedzą, fachowcy, a takim człowiekiem właśnie był mój ojciec. Znał dobrze cztery języki, na pewno więc był przydatny na tym stanowisku, na które go powołano. Dużo pisał, dużo publikował, jeździł po kraju i świecie z referatami, sądzę więc, że był w tym ministerstwie siłą merytoryczną. To jednak była trudna decyzja dla moich rodziców, bo trzeba było zrezygnować z ukochanego Poznania, ulubionego miejsca, gdzie się mieszkało tyle lat i nagle przyzwyczać się do zupełnie innych warunków.

[Do pokoju wchodzi ciocia Helena, z domu Molenda, młodsza siostra Tadeusza, jak się okazuje, w lipcu tego roku skończyła 90 lat.]

ES: Gdzie się znajdował państwa rodzinny dom?

Helena z domu Molenda (HM): Tadeusz urodził się w Grodzcu, tam nasz ojciec pracował jako górnik aż do czasu, gdy uległ wypadkowi

i przeniósł się do Jędrzejowa, do pracy na kolei. Tam też przyszedł na świat ja i pozostałe moje rodzeństwo.

ES: Jak zapamiętała pani swojego starszego brata, Tadeusza?

HM: Co mogę powiedzieć o moim bracie... Między nami była duża różnica wieku, jedenaście lat, słabo go pamiętam z tamtych czasów, wciąż był poza domem, uczył się, a potem wyjechał na studia. Mam przed oczami tylko takie drobiazgi, na przykład Tadeusz idący drogą z jakąś panną, pokiwał mi z daleka ręką, ja mu też pokiwałam, i tyle. Wiem na pewno, że był bardzo pracowity, kochał książki i był niezwykle uzdolniony, najbardziej z nas wszystkich rodzeństwa, a było nas czworo: najstarszy Tadeusz, potem drugi brat, Janek, młodsza siostra Genowefa i na końcu ja. W szkołach zawsze miał oceny celujące, ale szkolnictwo wówczas było płatne, za naukę w gimnazjum czy liceum trzeba było płacić, nie mówiąc już o studiach. W domu nie było pieniędzy, to była uboga rodzina robotnicza. Mój młodszy brat poszedł do seminarium nauczycielskiego, a Tadeusza rodzice chcieli zabrać z gimnazjum w Jędrzejowie, gdzie się uczył, bo ich po prostu nie było stać na opłacanie chesnego. I wtedy dyrektor tej szkoły powiedział, że nie godzi się tak zdolnego człowieka pozbawiać możliwości nauki i że w takim razie da bratu miejsce pracy w bibliotece szkolnej i w ten sposób dorobi on sobie pieniądze na dalsze swoje kształcenie. Uważam, że



Dom przy ulicy Wołyńskiej w Poznaniu, gdzie mieszkała rodzina rektora Molendy (październik 2011)

Fot. Ewa Strycka

bardzo ładnie postąpił ten dyrektor. Po skończeniu nauki Tadeusz pojechał do Poznania na studia, choć wcale nie chciał początkowo zostać leśnikiem. Pragnął studiować medycynę, ale to były za drogie studia i dlatego wybrał leśnictwo na Uniwersytecie Poznańskim. Zawsze lubił biologię, przyrodę, spacerować na łonie natury. Mój młodszy brat, Janek, był zupełnie inny: zajmował się sportem i tylko to go interesowało, ale Tadeusz – nie. Nauka, książki – to był cały jego świat. Pamiętam go, jak wsadzał do kieszeni płaszcz jakąś książkę, do tego kilka upieczonych przez mamę paluszków do schrupania – i szedł przed siebie, miedzą, na pola, do lasu... W książkach widział swój cel i całe swoje życie. Był zawsze wrażliwy na krzywdę ludzką, na biedę.

ES: A jak to się stało, że pani też trafiła do Poznania?

HM: Po śmierci rodziców i rodzeństwa Tadeusz postanowił: masz przyjechać do Poznania. I tak zrobiłam, posłuchałam starszego brata i przyjechałam do tego miasta. Trochę mieszkaliśmy u nich, a potem wyszłam za mąż i założyłam własny dom.

[Tu ciocia stwierdza, że musi wyjść do sklepu po zakupy i opuszcza nas.]

MK: Muszę powiedzieć, że moi rodzice doskonale czuli się w Poznaniu. Mieli fantastyczne relacje z przyjaciółmi. W czasie karnawału urządzali w naszym mieszkaniu przy Wołyńskiej bale, także przebierańców. Wówczas panował tu prawdziwy „obłęd”, ale w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Ja i moje siostry, trzy panienki, doskonale się czułyśmy wśród tych ludzi, starszych przecież od nas o wiele lat. Bawiliśmy się tu wszyscy bardzo dobrze. Pamiętam tatę, który jednego roku przebrał się za kobietę... Wyglądał niesamowicie zabawnie!

ES: O, to niezbrane oblicze rektora Tadeusza Molendy!

MK: Tak [śmiech], ale na co dzień tato był typem prawdziwego naukowca, który jest zaprzęgnięty tylko sprawami pracy na uczelni. Gdy na przykład wyjeżdżaliśmy na wakacje, to mama musiała się wszystkim zająć, pakowaniem jego walizek, co zabrać, co będzie potrzebne, bo tato potrafił wsiąść do samochodu tak jak stał, w garniturze, i tak pojechać do lasu... Był typem pogrążonego w rozmyślaniach naukowca, który zakłada dwa różne buty albo skarpetki nie do pary. Nad wszystkim jednak czuwała mama, a on wszystko akceptował, co zarządziła, zawsze tylko powtarzał: „Świetnie, Krysiulku” (bo mama miała na imię Krystyna). Poza tym uwielbiali chodzić razem na spacer. Zawsze rano, raniusieńko wstawali i po porannej kawie szli na spacer – do Parku Sołackiego w Poznaniu, a potem do Łazienek – gdy już mieszkaliśmy w Warszawie. Spacerowali regularnie. Również na wakacjach: już wczesnym rankiem szli sobie do lasu, radośni, szczęśliwi... Byli bardzo kochającą się parą, wzajemnie się uzupełniali. Ładnie też razem wyglądali, choć byli tak różni: tato wysoki i szczupły, miał ponad metr osiemdziesiąt, a mama niewysoka, około metra sześćdziesięciu, zawsze ubrana w garsonkę, koraliki, pantofle na niezbyt wysokim obcasie, z włosami upiętymi w duży, czarny kok, sprawiała wrażenie takiej małej, eleganckiej kobietki. Nie pracowała zawodowo, ale traktowana była przez ojca tak, jakby była najważniejszą istotą na ziemi, chociaż my, jej córki, wiedziałyśmy, że tak naprawdę głową rodziny jest tata. Byli tak bardzo ze sobą związani, że kiedy tato zmarł (w 1975 roku), mama zaraz potem poważnie zapadła na zdrowiu i w ciągu dwóch lat poszła w jego ślady. Była tak biedna, tak zagubiona po jego odejściu... Bardzo szybko pogodziła się z myślą, że musi zaraz umrzeć i dołączyć do męża. A miała zaledwie 58 lat, mogła przecież jeszcze długo żyć...

ES: Jak się do siebie zwracaliście na co dzień?

MK: Nie było u nas tego, co spotykało się w innych rodzinach, gdzie trzeba było mówić tak oficjalnie i poważnie: „Ojcze, niech ojciec pozwoli mi na to czy tamto”, nie, myśmy do rodziców mówili: „tatusiu”, „mamusiu”, z pełną serdecznością i czułością, z takim ciepłem rodzinnym. Rodzice byli względem nas bardzo, może nawet za bardzo troskliwi i opiekuńczy. Przez cały czas się o nas bali, być może było to spowodowane tym, że swoje pierwsze dziecko, kilkumiesięcznego synka, stracili w czasie wojny – zmarł na zapalenie opon mózgowych.

ES: A gdzie i kiedy rodzice się poznali?

MK: Poznali się na tułaczce wojennej w jednym z nadleśnictw u dziadka ze strony mamy. W 1943 roku się pobrali. Moja starsza siostra, Ewa, urodziła się jeszcze w Gniewkowie, z kolei ja i młodsza siostra, Katarzyna, przyszłyśmy na świat już w Poznaniu. Żałuję, iż nie rozmawialiśmy z rodzicami o dawnych czasach, nie interesowało nas to wtedy, dlatego moje wspomnienia na temat tego, co działo się przed naszym urodzeniem, są bardzo wybiórcze. Nie zdążyłam poznać tej przeszłości, zajęta codziennością, koleżankami, kolegami...



Fot. archiwum Magdaleny Kowalkowskiej

Krystyna i Tadeusz Molenda; zdjęcie zrobione podczas wojny, prawdopodobnie tuż po ślubie (pobrali się w 1943 roku)



Fot. archiwum Magdaleny Kowalkowskiej

Ojciec Tadeusza Molendy – Piotr, był górnikiem



Fot. archiwum Magdaleny Kowalkowskiej

Ojciec Krystyny Molendy – Wojciech Wajda, był nadleśniczym w Gniewkowie koło Torunia



Fot. archiwum Magdaleny Kowalkowskiej

Najmłodsza siostra Tadeusza Molendy, Hanna (na zdjęciu z lat czterdziestych XX wieku)

ES: Jak wyglądał zwykły, powszedni dzień w mieszkaniu rektora Molendy?

MK: W zasadzie nic ciekawego się nie działo, może poza tym, że – jak już mówiłam – ojciec dzień rozpoczynał od kawy, siadał sobie z nią przy radiu i kręcił gałką w poszukiwaniu Radia Wolna Europa. Tak właśnie zapamiętałam ojca, siedzącego przy radiu, wśród tych pisków i zgrzytów zagłuszek, słuchającego wiadomości z Zachodu Europy. Podobnie było wieczorem, po powrocie z pracy. Kolacja, szklanka z herbatą i znów Radio Wolna Europa. Zawsze bardzo się cieszył, gdy usłyszał coś pozytywnego, dobrego o naszym kraju, co rokowało, że może się wreszcie coś tu zmienić. Nie każdy wie, że był on wielkim patriotą, bardzo przeżywał to, co działo się w Polsce. Owszem, należał do partii, bo musiał, jeśli chciał coś osiągnąć w życiu zawodowym. Dlatego nazywanie mojego ojca: „towarzysz Molenda”, jest dla niego bardzo krzywdzące, bo on tego nienawidził, nigdy się nie czuł „partyjniakiem”, był nim tylko na papierze. To były takie straszne czasy.

ES: Bywały jednak i przyjemne chwile, na przykład wakacje...

MK: O, tak! Na wakacje zawsze wyjeżdżaliśmy wszyscy razem, to znaczy my, córki, jeździliśmy z rodzicami, nigdy nie było tak, żeby nas wysyłano gdzieś na kolonie czy obozy, nigdy nie chodziliśmy do przedszkola, zawsze byliśmy z rodzicami. Najczęściej wyjeżdżaliśmy gdzieś do lasu, do leśniczówki, ponieważ rodzice kochali las i jak tylko mogli, to właśnie takie miejsca wybierali, najlepiej tam się czuli. I nas, swoje córki, zarazili tą miłością do przyrody.

ES: Czy pani ojciec traktował wówczas las jako miejsce badań, stricte pracy naukowej, czy może dostrzegał w nim coś więcej?

MK: I jedno, i drugie. Kochał las, patrzył na drzewa i z pewnością oceniał je jako fachowiec, leśnik, pod względem zdrowotności, współistnienia z pozostałymi gatunkami, ale jednocześnie kochał ten las jako całość, podziwiał bogactwo przyrody, zwierzyłem w tym wszystkim żyjącą – i jako miejsce, gdzie najlepiej się wypoczywa.

ES: Czy były to różne miejsca, czy może jedno ulubione?

MK: Wyjeżdżaliśmy nad morze i w góry, ale mieliśmy również takie ulubione miejsce niedaleko Olsztyna – miejscowość nazywa się śmiesznie (jak wiele w tych stronach): Purda Leśna. Z wielką przyjemnością rok rocznie jeździliśmy do leśniczówki tam się znajdującej. Była to nasza wspaniała baza, a gospodarze przyjmowali nas zawsze z wielką grzecznością i troską. Tam nabieraliśmy sił do pracy (tato) i nauki (my, jego córki).

ES: Jak wyglądał gabinet pani ojca?

MK: To był typowy duży pokój, najważniejsze miejsce naszego domu. Panował tam zawsze swego rodzaju „nieład” wśród papierów i maszynopisów, ale ojciec zawsze wiedział, gdzie co jest. Książek tam było zatrzęsienie, od podłogi po sufit. Lubiliśmy do tego gabinetu z siostrami zaglądać, ale książki tam się znajdujące niespecjalnie nas wtedy interesowały, były zbyt specjalistyczne, to nie była ciekawa lektura dla dorastających panienek. Trzeba było oczywiście zawsze uważać, żeby nie zrobić w tych papierach nieporządku. I to bynajmniej nie my, córki profesora, mogłyśmy coś nabroić, ale zwierzęta, które w naszym domu były obecne od zawsze.

ES: Co rodzice sądzili na temat obecności zwierząt w domu?

MK: Och, to zawsze była wojna. Musiałyśmy (moje siostry i ja) wymusić na rodzicach zgodę, zwłaszcza na ojcu, który – gdy przyprawiłbyśmy jakiegoś zwierzaka do domu – zawsze najpierw się złościł, ale już po krótkim czasie przywykał do tej sytuacji i godził się na wszystko. Ba, czasem, gdy myślał, że nikt go nie widzi, pogłaskał takiego kota albo i nawet dał mu jakiś smakowity kąsek do zjedzenia... Ale tylko wtedy, gdy nikogo z nas nie było w pobliżu! Przy nas trzymał fason.

ES: Ile i jakie zwierzątka przewinęły się przez państwa dom? I kto je tam znosił?

MK: Najgorsza pod względem wprowadzania do domu różnych żyjątek byłam ja. A to białe myszy, a to rybki, a to jakiś kot, a to pies, oczywiście chowało się ten żywy inwentarz przed ojcem, ale pech chciał, że ten kot czy pies zawsze pierwszy wylał pod jego nogi, ojciec się wtedy wściekał, krzyczał, ale trwało to krótko i już w niedługim czasie przyzwyczajał się do nowego domownika. Bywało, że trzeba było te zwierzęta zabrać ze sobą na wakacje, bo kto by się nimi opiekował? Pamiętam taki rok, kiedy załadowałam się do samochodu z rybkami w akwarium, myszkami, kotem... Ojciec nie miał już siły, machał na to ręką...

ES: Czy po powrocie do Poznania zabrała pani do dawnego mieszkania przy ulicy Wołyńskiej?

MK: Tak, bywam w tym domu dość często, bo mieszka w nim nasza rodzina.

ES: Odnalazła tam pani coś z dawnych czasów?

MK: Hm... Wspomnienia...

Rozmawiała Ewa Strycka



Park Sołacki do dziś lubią dzieci



Kolejny sołacki mostek



Miejsce to lubią także zakochane pary

Fot. 3 x Ewa Strycka



DZIENNIK USTAW RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Warszawa, dnia 26 listopada 1951 r.

Nr 60

TRESC:

ROZPORZĄDZENIA RADY MINISTRÓW:

- Poz.: 410 — z dnia 13 października 1951 r. w sprawie zakresu działania Ministra Przemysłu Drobego i Rzemiosła 515
411 — z dnia 17 listopada 1951 r. w sprawie utworzenia Wyższych Szkół Rolniczych w Poznaniu i we Wrocławiu oraz zmian organizacyjnych na Uniwersytetach Poznańskim i Wrocławskim 516

ROZPORZĄDZENIE PREZESA RADY MINISTRÓW

- 412 — z dnia 12 listopada 1951 r. w sprawie zmiany siedzib i nazw niektórych gmin w powiatach hrubieszowskim i tomaszowskim w województwie lubelskim 516

ROZPORZĄDZENIA:

- 413 — Ministra Gospodarki Komunalnej z dnia 14 listopada 1951 r. w sprawie kontroli bezpieczeństwa przeciwpożarowego 517
414 — Ministra Finansów z dnia 8 listopada 1951 r. w sprawie ksiąg podatkowych dla podatników gospodarki nie uspołecznionej prowadzących młyny, wiatraki, karczarnie i samodzielne śrutowniki 518
415 — Ministra Finansów z dnia 8 listopada 1951 r. zmieniające rozporządzenie z dnia 11 stycznia 1951 r. w sprawie wykonania niektórych przepisów dekretu o postępowaniu podatkowym 518

411

ROZPORZĄDZENIE RADY MINISTRÓW

z dnia 17 listopada 1951 r.

w sprawie utworzenia Wyższych Szkół Rolniczych w Poznaniu i we Wrocławiu oraz zmian organizacyjnych na Uniwersytetach Poznańskim i Wrocławskim.

Na podstawie art. 19 ust. 3, art. 20 i art. 57 ust. 1 dekretu z dnia 28 października 1947 r. o organizacji nauki i szkolnictwa wyższego (Dz. U. R. P. Nr 60, poz. 415) zarządza się, co następuje:

§ 1. 1. Tworzy się następujące państwowe wyższe szkoły akademickie:

- 1) Wyższą Szkołę Rolniczą w Poznaniu,
- 2) Wyższą Szkołę Rolniczą we Wrocławiu.

2. Szkołom wymienionym w ust. 1 nadaje się osobowość prawną.

§ 2. 1. Przenosi się z Uniwersytetu Poznańskiego do Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu Wydział Leśny i Wydział Rolniczy ze Studium Ogrodnictwa wraz z katedrami i połączonymi z nimi zakładami naukowymi.

2. Przenosi się z Uniwersytetu Wrocławskiego do Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu Wydział Rolnictwa z Oddziałem Ogrodnictwa i Oddziałem Melioracji Rolnych oraz Wydział Medycyny Weterynaryjnej wraz z katedrami i połączonymi z nimi zakładami naukowymi.

§ 3. Studenci wydziałów przeniesionych w myśl § 2 stają się studentami odpowiednich Wyższych Szkół Rolniczych w Poznaniu i we Wrocławiu.

§ 4. Pracownicy, zatrudnieni na wydziałach wymienionych w § 2, przechodzą z dniem przeniesienia tych wydziałów do pracy w odpowiednich Wyższych Szkołach Rolniczych w Poznaniu i we Wrocławiu.

§ 5. Majątek użytkowany przez uniwersytety wyłącznie dla potrzeb wydziałów wymienionych w § 2 przechodzi w zarząd i użytkowanie odpowiednich Wyższych Szkół Rolniczych w Poznaniu i we Wrocławiu.

§ 6. Wykonanie rozporządzenia porucza się Ministrom Szkół Wyższych i Nauki oraz Finansów.

§ 7. Rozporządzenie wchodzi w życie z dniem ogłoszenia z mocą od dnia 1 września 1951 r.

Prezes Rady Ministrów: J. Cyrankiewicz

Pierwszy wykład na uczelni, nocleg pod portretem Marksa i „wywrotowe” rękawiczki

To był rok akademicki 1951/1952, ostatni na Wydziale Rolniczym Uniwersytetu Poznańskiego. Dokładnie pamiętam nasze pierwsze zajęcia. Był to wykład z matematyki, prowadziła go w budynku Katedry Chemii przy ul. Wojska Polskiego prof. Regina Eland. Nadeszła pierwsza przerwa w zajęciach, wyszliśmy na hol. W kącie pomieszczenia znajdował się duży kaflowy piec, w którym – ze względu na chłodną, październikową aurę – było już napalone. Wszystkie dziewczyny skupiły się wokół niego. Naprzeciw nas stanęła część chłopaków. Stali, patrzyli i nagle jeden nich powiedział: „My wiemy, przyszłyście tutaj, aby znaleźć męża!” Byliśmy oburzone! No i faktycznie. Jak pokazała przyszłość, małżeństw na roku było tylko kilka, i do tego zawarte zostały dopiero pod koniec studiów.

Inna przygoda to wyjazd na miesięczną praktykę robotniczą po pierwszym roku. Byłam w grupie, którą skierowano do pegeeru pod Szczecinem. Z uczelni dostaliśmy delegację oraz 50 złotych na pokrycie kosztów podróży. Razem z koleżanką jechałyśmy pociągiem nocnym, ale przez pomyłkę wsiadłyśmy do pociągu ekspresowego, a nie osobowego. Kara za niewłaściwy bilet wykasowała nas do grosza, a musiałyśmy jeszcze kupić bilety na dalszą podróż, tym razem kolejką wąskotorową. Na szczęście koleżanka, wychowanka siostr Sacre Coeur, wiedziała, gdzie szukać pomocy: na najbliższej plebanii. Przedstawiłyśmy naszą sytuację proboszczowi, ten nam – o dziwo – uwierzył (widocznie wyglądałyśmy całkiem wiarygodnie) i dał nam pieniądze na bilety. Bez przeszkód dołączyłyśmy więc do naszej grupy i szczęśliwie dotarłyśmy na miejsce. A tam – warunki zgrzebne, jak to w pegeerze: czekały na nas jedynie sienniki rozłożone na podłodze w świetlicy. Ja wybrałam ten, który leżał pod portretem Marksa.

W pewnym okresie studiów nabawiłam się egzemy (choroby skóry), dlatego musiałam zacząć nosić na dłoniach rękawiczki. Wkrótce stały się one solą w oku naszego aktywu partyjnego, kojarzyły się bowiem z wielkopańską manierą, ze stylem bycia „panienki z dobrego domu”. Przez te nieszczęsne rękawiczki stałam się elementem niepoprawnym politycznie. Efekty tego nie dały na siebie długo czekać. Kiedy po otrzymaniu dyplomu inżyniera (obecnie licencjat) starałam się o przyjęcie na studia magisterskie, aktyw siedzący w komisji kwalifikacyjnej jednogłośnie orzekł: „Nie nadaje się!” Na szczęście komisji przewodniczył prof. Felicjan Cieszkowski-Dembiński i to on mnie uratował. Po krótkiej dyskusji aktyw zmienił stanowisko, zastrzegając jednak, że moje studia owszem, mogą być kontynuowane, ale tylko na pierwszej socjalistycznej uczelni rolniczej w Polsce – w Olsztynie (dziś to Uniwersytet Warmińsko-Mazurski). Tam z dwójką „ochotników” pojechałam więc na wygnanie, tam też przeżyliśmy Poznański Czerwiec. Było gorąco... Bo nagle się okazało, że nasza trójka z Poznania stanowi element wywrotowy i jako przeszczepiony na olsztyński grunt może zagrażać całemu środowisku. Na szczęście wkrótce odbyło się otwarte zebranie partyjne, gdzie przeproszono nas za doznane przykrości. Potem już bez przeszkód obroniliśmy nasze prace magisterskie.

Tak, to były niezwykle ciekawe czasy...

*Danuta Wójcik-Wojtkowiak
emerytowana profesor Katedry Fizjologii Roślin
Wydziału Ogrodniczego
Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu*



Budynek Chemii Ogólnej

Fot. archiwum Małgorzaty Marłki

„Czasy, jakie były, takie były, ale człowiek był młody...”

Wspomnienia studentów rozpoczynających naukę na Uniwersytecie Poznańskim w październiku 1951 roku

Teresa Woyke (TW): Nasz rocznik rozpoczął studia w 1951 roku, a skończył go po trzech i pół roku – w 1955. Potem jeszcze były studia magisterskie, które trwały półtora roku, ale tam nie przyjmowali wszystkich, tylko tych z dobrymi stopniami. W 1951 roku na wydziałach rolniczym i leśnym Uniwersytetu Poznańskiego było nas 240 osób. Przyjmowano nas na podstawie egzaminu pisemnego z biologii (pisaaliśmy go w dwóch terminach: rano i po południu w budynku Chemii Ogólnej) oraz rozmowy kwalifikacyjnej, w której uczestniczyli: „czynnik społeczny”, przypuszczalnie starszy kolega z ZMP, oraz dziekan i sekretarka. Dziekanem wówczas był profesor Barbacki, jeszcze przedwojenny pracownik uniwersytetu, a jednocześnie – jak się później okazało – recenzent mojej przyszłej pracy doktorskiej. Po rozmowie kwalifikacyjnej odbyło się pierwsze spotkanie wszystkich przyjętych w sali wykładowej Chemii Ogólnej. (Tak na marginesie: Chemia Ogólna była specyficznym budynkiem, bo oprócz sali audytoryjnej posiadała jeszcze na górze coś w rodzaju balkoniku. Nasi koledzy sobie wymyślili, że to będzie idealne miejsce do puszczenia latawców...) Tak więc na tym spotkaniu okazało się, że spośród nas wydzielono kandydatów do studiowania na nowym wydziale – Wydziale Zootechnicznym, na który dobrowolnie przeszło 60 osób. Z pozostałych 180 (wśród nich i nas) utworzono sześć grup dziekańskich po ca 30 osób w każdej (w tym samym czasie utworzono też małą grupę ogrodników). Mąż był w pierwszej, a ja w szóstej grupie, ale poznaliśmy się dopiero po studiach, nie byliśmy małżeństwem studenckim. Na pierwszym roku mieliśmy zajęcia z wieloma jeszcze przedwojennymi profesorami, niektórzy z nich byli wybitni, jak chodzi o prowadzenie wykładów. Zdarzało się, że na wieść, iż ten a ten profesor będzie miał wykład poza uczelnią, wszyscy jak w dym tam biegli, drzwi z zawiasów wystawiali, aby choć na korytarzu go posłuchać. Takim profesorem był Jan Sokołowski, zoolog, który potrafił na wykładzie opisać śpiew ptaka, czyli zademonstrować nam, co ten ptak

swoim śpiewem do nas mówi, przykładowo taki trznadel na wiosnę śpiewa: „Suchej kobyłe nie będzie nic”. Profesor potrafił ten głos odtworzyć, a nam dodatkowo podawał, co w ludowej mądrości taki głos oznacza. Jednocześnie studiował sztuki piękne, malarstwo i wszystkie te ptaki potrafił nam narysować na tablicy kredą.

Witold Woyke (WW): Ale jak artystycznie!

TW: Tak, bardzo ładnie rysował. Z kolei ćwiczenia z tej zoologii nie były za ciekawe, przynajmniej dla mnie. Nie lubiłam na przykład sekcji, rozkrwania dżdżownicy i rysowania, co tam ta dżdżownica w środku ma, ale była to wiedza konieczna, trzeba ją było oczywiście nabyć. Na ćwiczeniach z botaniki było podobnie, też rysowaliśmy obiekty, ale ze świata roślin, poznawaliśmy ich budowę anatomiczną, wykonywaliśmy rysunki spod mikroskopu – było to na swój sposób ciekawe. Bardzo ciekawe były ćwiczenia z chemii prowadzone przez dr. Aleksandra Kubiaka i mgr. Przybylaka (obaj już niestety nie żyją). Na tych zajęciach nadzór nad odczynnikami i sprzętem laboratoryjnym sprawował pan Woźniak, który tym się wyróżniał z tłumu, że potrafił nam, studentom, podpowiedzieć, jaką substancję mamy w danej chwili w próbkach. A skąd czerpał tę wiedzę? Brał po prostu na język zawartość każdej z nich! Oczywiście często chodził z poparzonymi ustami... Z innych profesorów najmilej wspominam tego, który wykladał nam geologię z mineralogią – profesora Czekalskiego. Ale moi koledzy jeszcze przez długie lata po zakończeniu studiów niezwykle mile wspominali... asystentkę profesora, bardzo ładną, szczupłą, ciemno-, a właściwie czarnowłosą, która na bodajże niebieskim sweterku miała wypisane „Ewa”... Pierwszym przedmiotem, który musiałam zaliczyć, była meteorologia. Prowadzili ją prof. Smosarski i Mariusz Karliński, obaj bardzo oryginalni. Pan Karliński przez cały rok biegał do sklepu z kanką po mleko (sklep mieścił się w suterenie willi stojącej na przeciw obecnej Chemii Rolnej), zawsze w tenisówkach, nieważne, czy to było lato, czy zima, mknął po śniegu, po lodzie... Pro-



Fot. Ewa Strycka

Teresa i Witold Woyke w swoim ogrodzie latem 2011 roku



Czyn społeczny 1952: budowa stadionu AZS przy ulicy Pułaskiego w Poznaniu; Witold Woyke (z prawej) i jego koleżanki wiedzą, do czego tak naprawę służą taczki

fosor Smosarski też był oryginałem. W tamtych czasach tramwaje jeździły w miarę regularnie, ale niemal zawsze panował w nich straszny tłok. Aby usprawnić przemieszczanie się pasażerów, wprowadzono zasadę, że wsiada się przez tylny pomost...

WW: ... przy którym stał konduktor i sprzedawał bilety...

TW:... tak, a wysiada przodem. I pewnego dnia przy sołackiej zielonej budce do tramwaju postanowił wsiąść profesor Smosarski, zasuszony staruszek, chucherko wręcz, ale popełnił błąd, bo skierował swe kroki ku przedniej platformie. Na takie poważne złamanie przepisu gromkim głosem odezwał się motorniczy: „Tyłem się wsiada! Tyłem!” Na co profesor Smosarski, stojąc już na pierwszym stopniu tego pomostu, elegancko odwrócił się na pięcie i wsiadł do pojazdu – tyłem! Warto jeszcze tu wspomnieć jeden z przedmiotów, chemię ogólną. W zasadzie po raz pierwszy uczono mnie tu chemii z efektywnymi nieraz pokazami różnych doświadczeń. Tam właśnie pewnego dnia wykładowca zapytał: „Kto z państwa by tu przyszedł, wszedł na katedrę i zapalał bańki mydlane napełnione wodorem i tlenem, które będą wytwarzać?” Długo nikt się nie chciał zgłosić, aż po chwili zgodę na to wyraził krótko ostrzyżony, niemalże łysy chłopak i skrupulatnie wszystkie bańki pozapalał. To był – jak się później okazało – mój przyszły mąż.

WW: Tak, pamiętam tę chwilę, wszedłem wtedy na katedrę i zrobiłem to, o co mnie prosił wykładowca. Teraz ja trochę powspominam. Początek lat pięćdziesiątych to czasy, kiedy co rusz trzeba było wykonywać czyny społeczne. Nam, studentom pierwszego roku, przyszło pracować przy budowie stadionu AZS przy ulicy Pułaskiego, narożnik z ulicą Nowowiejskiego. Wyposażenie mechaniczne naszej załogi było imponujące: łopata i taczka, którą wywoziliśmy ogromne ilości ziemi z wykopów, ale – jak widać na zdjęciu – nie tylko do tego taczki nam służyły... Bardzo ważne wówczas też były pochody pierwszomajowe. Na czele zawsze szli „przodownicy pracy”, każdy z odpowiednią szarfą na piersiach. Na tym zdjęciu z 1952 roku proszę zobaczyć, stoję też i ja, pierwszy od prawej. Ale jak pani widzi, różnię się nieco od kolegów i koleżanek. Mam inny, cywilny strój, podczas gdy oni są odziani w bluzy ZMP (ani ja, ani moja przyszła żona nie należeliśmy do tej organizacji). Obecność na pochodzie była obowiązkowa, według imiennej listy skrupulatnie sprawdzano, czy wszyscy są obecni! Jak już jesteśmy przy absurdach tamtych czasów, to powiem pani jeszcze, że ponieważ bardzo dobrze się uczyłem, co roku dostawałem nagrodę za dobre wyni-

ki w nauce: tylko że zawsze było to albo *Historia WKPb*, albo *Krótki życiorys Stalina*. Regularnie co roku wręczano mi albo jedną, albo drugą książkę. Miałem tego kilka egzemplarzy!

TW: Listą obecności na pochodach pierwszomajowych zajmował się sekretarz ZMP, nam na szczęście trafił się bardzo sympatyczny. Zawsze się go prosiło: „Kaziu, do licha, sprawdź już tę obecność, żebyśmy się w końcu mogli stąd urwać!” Czmychaliśmy stamtąd po przejściu przed trybunami, w których zasiadały ówczesne władze pań-



Przodownicy pracy na pochodzie pierwszomajowym w 1952 roku; Witold Woyke, student pierwszego roku Wyższej Szkoły Rolniczej, pierwszy od prawej; jego ubiór różni się od uniformów kolegów i koleżanek stojących obok...



„... Były to czasy, kiedy na każdą większą uroczystość panienki zakładały zawsze białe bluzki...”; tu: studenci w odświętnych garniturach, a studentki w białych bluzeczkach stoją przed wejściem do dawnego Rektoratu przy skrzyżowaniu ulic Dąbrowskiego i Botanicznej; pierwsza od lewej pani Teresa (po kilku latach Woyke) (pan Witold robi zdjęcie)

stwowe (na wysokości mniej więcej placu Mickiewicza, w latach pięćdziesiątych to był plac Stalina). Przy ulicy Ratajczaka już nas nie było.

WW: Były to czasy, kiedy na każdą większą uroczystość panienki zakładały zawsze białe bluzki, co widać na kolejnym zdjęciu.

TW: Stroje, zwłaszcza na egzaminach lub w innych wyjątkowych sytuacjach, były niezwykle istotne. Pamiętam na przykład bardzo ważne kolokwium z wpisem do indeksu u profesora Smosarskiego. Przede mną zdawał kolega, ubrany był bardzo porządnie, ale nie miał krawata, a i koszulę miał w drobną kratkę, nie gładką białą. Odpowiedział prawidłowo na wszystkie pytania, ale pan profesor podsumował to tak: „No cóż, dobrze, dobrze, ale ponieważ nie ma pan krawata – to tylko dostateczny”.

TW: Rektorat naszej uczelni, popularnie zwanej wówczas... „WyS-Rolem”, mieścił się przy ulicy Dąbrowskiego [dziś znajduje się tam Wydział Ogrodnictwa i Architektury Krajobrazu – przyp. red.]. W tym właśnie budynku my, studenci, odbieraliśmy stypendia, a profesorki – swoje wypłaty. Staliśmy wszyscy w jednym długim ogonku do kasy po swoje wynagrodzenie. Często w kolejce stałam tuż za profesorem Steckim...

WW: Profesor Stecki był jeszcze przedwojennym nauczycielem akademickim. Uczył botaniki i często urządzał nam wycieczki na łąki, gdzie musieliśmy oznaczać wszystkie trawki i inne roślinki, zbierać je i potem robić zielniki. Tutaj mam pamiątkowe zdjęcie z jednego z takich wypadów. Profesor Stecki zaraz po wojnie i po powrocie do Poznania dostał mieszkanie w dobudowanym do Dworku Sołackiego skrzydle (tuż obok starego Kolegium Cieszkowskich). Tam za czasów okupacji mieszkał z kolei niemiecki profesor Segler (specjalista od masyżu). Uciekając przed nadciągającym frontem, Segler został w tym mieszkaniu cały swój dobytek. Profesor Stecki, kiedy się tam wprowadził, znalazł między innymi wiszący na ścianie dyplom uniwersytecki podpisany przez Adolfa Hitlera! Z profesorem Steckim wiąże się jeszcze inna anegdota. Niektóre eksponaty w słoikach wykonywał, używając spirytusu. Jednak jeden z jego laborantów wciąż mu ten spirytus podpijał. Profesor nie wiedział dokładnie, który to z jego pomocników ma taki pociąg do uczelnianego trunku, nie przyłapał nikogo na gorącym uczynku, postanowił więc zrobić to podstępem. Jako wybitny specjalista od grzybów, sporządził odpowiedni środek, który miał działanie silnie przeczyszczające. Dodał go do tego spirytusu... No a potem to już wystarczyło obserwować, kto

częściej niż zwykle biegnie do toalety i cierpi na przewlekłą biegunkę... W ogóle profesor Stecki był wyjątkowo uczciwym pracownikiem naukowym. W tamtych czasach często przychodziło takie odgórne zarządzenie, aby ten czy inny działacz ZMP zdał – bez względu na wszystko – egzamin. Wielu uczonych tym naciskom ulegało, ale nie profesor Stecki. On zawsze – chyba jako jedyny – w takich sytuacjach mówił: „Nie, ten student będzie zdawał egzamin tak, jak inni”. I nie było dyskusji. Zdawał czasem taki zetempowiec i po trzy razy, ale żadnej taryfy ulgowej ze względu na przynależność do socjalistycznej organizacji nie otrzymał. Nigdy.

TW: Profesora Steckiego pamiętam zawsze pogrążonego w pracy naukowej, nawet kiedy przebywał poza murami uczelni. Na przykład idę sobie ulicą Niestachowską, wracam z zajęć, mijam właśnie linię parku Sołackiego i widzę, że przede mną stoi jakiś starszy pan i uważnie ogląda jakiś krzaczek czy inną roślinkę. Podchodzę bliżej – no tak, to profesor Stecki. Wszystko, co spotkał po drodze, każdą roślinkę musiał obejrzeć, wziąć do ręki, oznaczyć.

WW: Jeden z moich kolegów z grupy nie uczył się za dobrze. Przyszła jednak czas i musiał zdawać egzamin u profesora Smosarskiego z meteorologii. Profesor zadał mu tylko jedno pytanie: „Proszę pana, czy z tej chmury będzie dzisiaj padać deszcz, czy nie?” Student popatrzył na niebo i odpowiedział: „Tak, panie profesorze, z tej chmury spadnie dziś deszcz”. „Niedostateczny! Odjazd!” – na to profesor i nie zaliczył mu egzaminu. Traf chciał, że po południu z owej chmury jednak spadł deszcz, a student nie należał do potulnych, poszedł więc znów do profesora i wskazując na aurę panującą za oknem, rzekł z pretensją: „Panie profesorze, pada deszcz!” „Daj pan indeks” – na to profesor Smosarski. – „Dostateczny”. Inną ciekawą postacią ze świata nauki Wyższej Szkoły Rolniczej był profesor Pietruszczyński, jeszcze przedwojenny działacz społeczny, socjalista, który wraz z żoną po wojnie zamieszkał w willi przy ulicy Podlaskiej. Szczególnie na sercu leżało mu dobro dzieci, dlatego też przekazał tę swoją willę Towarzystwu Przyjaciół Dzieci. Ale – jak to często było w tamtych czasach – zrobiło się „szachu-machu, szachu-machu” – i willę – po stanie wojennym – otrzymała córka pierwszego sekretarza partii. Oficjalny przekaz był taki, że ona, ta córka partyjniaka, też będzie miała dzieci, więc jej się ta willa należy. Na szczęście potem przyszła odwilż, willę córce sekretarza odebrano i dziś, zgodnie z wolą profesorostwa Pietruszczyńskich, jest w tym miejscu przedszkole.



Zajęcia w terenie z profesorem Steckim (stoi w środku); Witold Woyke tuż za nim

TW: Pyta pani o atmosferę, jaka panowała w '51 roku na uczelni. Można to krótko opisać: była to atmosfera strachu przed szalejącym stalinizmem. Nie daj Boże było się zdradzić, że istniał jakiś Katyń albo że ktoś z krewnych tam zginął! Nic na ten temat. Ten strach, a raczej nieufność wobec kolegów, został do końca studiów.

WW: Skąd się wziął na uczelni? Byłem synem kułaka [śmiech]. Bardzo mnie interesowała weterynaria, więc zapisałem się na wetery-

narię we Wrocławiu. Zostałem przyjęty, ale po dwóch czy trzech tygodniach otrzymałem z dziekanatu informację, że mam zabrać papiery, bo z liceum, które ukończyłem, przesłano na mój temat złą opinię – przecież byłem synem kułaka! I tak się skończyła moja przygoda z weterynarią we Wrocławiu. Ponieważ wszyscy wówczas baliśmy się wojska (a uchronić się przed nim można było tylko na studiach), pojechałem zaraz do Lublina na KUL i tam rozpocząłem studia na... hi-



„... Innym znów razem pojechaliśmy w ramach chemii rolnej do Baborówka, żeby tam obejrzeć wzorową pryzmę obornika...”; na zdjęciu: wzorowa pryzma obornika (na drugim planie) podziwiana przez studentów z Poznania



Połowa lat pięćdziesiątych XX wieku, pierwszy polski ciągnik z silnikiem dwusuwowym Ursus C45, 10 200 cm³, 45 KM, jeden cylinder, silnik średnioprężny... Witold Woyke wspomina do dziś zachwyty, z jakim ów sprzęt przyjmowali studenci

stории sztuki. Po trzech miesiącach skończył się okres poboru do wojska, zwinąłem więc manatki i pojechałem do pegeerów, gdzie wkrótce zostałem „przodownikiem pracy” i jako taki zostałem skierowany na studia do Poznania. O moją „kułacką” przeszłość nikt więcej się już nie pytał (a ja się nią nie chwaliłem), ale co roku musiałem – jako syn rolnika – dostarczać zaświadczenie, że ojciec oddał obowiązkowe dostawy. Na tymże zaświadczeniu była rubryczka, w której się podawało, ile dany rolnik ma hektarów. Mój ojciec miał ich 84, ale ja między ósemkę a czwórkę wstawiałem przecinek – i było po kłopotcie. Moje „kułackie” pochodzenie było dobrze ukryte. Z tym nie było wówczas żartów. Jedną z moich koleżanek wyleciała ze studiów po drugim roku, właśnie za to, że była córką kułaka.

TW: Jak spędzaliśmy wolny czas? Raczej nie było wtedy zbyt wielu rozrywek. Pamiętam jednak, że co sobotę w holu Kolegium Cieszkowskich (zwanymi potocznie „Starymi Cieszkowskimi” – w odróżnieniu od „Nowych”, które dobudowano obok po latach) co sobotę odbywała się potańcówka. Zawsze znalazł się ktoś z akordeonem albo gitarą, kto przygrywał nam do tańca.

WW: Z tym budynkiem – Kolegium Cieszkowskich – wiąże się jeszcze inna ciekawa historia. Gdy pod koniec drugiej wojny światowej do Poznania weszli Rosjanie, urządzili sobie koszary właśnie w „Starych Cieszkowskich”. Schody prowadzące na pierwsze piętro i do piwnic, bardzo ładne, wykonane z piaskowca, wkrótce zostały zrujnowane, poobjane, ponieważ czerwonoarmiści zwykli prowadzić tamtędy swoje konie...

TW: W 1951 roku, jako studenci początkowo jeszcze Uniwersytetu Poznańskiego, mieliśmy odpowiednie czapki korporacyjne. Czapki te były u rolników brązowe...

WW: ... a na wierzchu miały wyhaftowane złotą nicią słońce...

TW: ... słońce zachodzące za – jak to mówili kąśliwie leśnicy – kupką gnoju, a to były oczywiście bruzdy ziemi po prostu, wyciągnięte przez pług [śmiej].

WW: W ramach zajęć z mechanizacji pojechaliśmy obejrzeć radziecką sadzarkę do sadzenia kapusty, sześciorzędową (dziś można ją oglądać w muzeum w Szreniawie). Ten ursus to był dopiero ciągnik! Kto miał ursusa, to był ktoś! Innym znowu razem pojechaliśmy w ramach chemii rolnej do Baborówka, żeby tam obejrzeć wzorową przymę obornika. Kto tam dawniej układał obornik w przymy! Ale w Baborówku taką ułożyli i specjalnie studenci WSR z doktorem (wówczas) Tuchołką przyjechali z Poznania to oglądać.

TW: Chodziło o to, żeby ten obornik przefermentował, żeby możliwie mało stracił składników, zwłaszcza azotu (nawozów azotowych po wojnie było bardzo mało).

WW: Po trzecim roku studiów podjąłem pracę w Katedrze Mechanizacji jako – wtedy to się nazywało: zastępca asystenta. Obowiązki były te same, co asystenta...

TW: ... albo i nawet większe...



Zimowe zabawy studentów Wyższej Szkoły Rolniczej w 1951 roku

Fot. 7 x archiwum T. i W. Woyke

WW: ... tak, ale pensja o wiele niższa [śmiej].

TW: Czasy, niezależnie od wszystkiego, jakie były, takie były, ale człowiek był młody, pełen nadziei, a ta nadzieja oblokła się w widma możliwe do zrealizowania, gdy Gomółka został pierwszym sekretarzem, po Październiku '56 roku, ale to tylko na krótki czas, bo później wróciło stare...

Studenckie czasy wspominali Teresa i Witold Woyke, rozmowę pisała Ewa Strycka



Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu

141 lat

wyższych studiów rolniczych
w Wielkopolsce
1 8 7 0 - 2 0 1 1

92 lata

akademickich studiów rolniczych
i leśnych w Poznaniu
1 9 1 9 - 2 0 1 1

60 lat

autonomii uczelni
1 9 5 1 - 2 0 1 1

